Nr. 12. Lwów — Wtorek dnia 15 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym g rmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: pt. św. Maura Op. | Malachia pr.
Jutro: śr. św. Marcelego | Sobor 70 Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 52
Zachód „ „ 4 „ 27

Długość dnia g. 8 m. 35
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 14 stycznia.

„Najnowszy kurs" w Prusach w stosunku do ludności polskiej tem się odznacza, że rząd nie czyni nic ku ustaleniu sprawiedliwości w narodowem życiu, ale także nie pogarsza istniejącego stanu, zdawszy całą akcyę germanizacyjną w ręce obywatelstwa niemieckiego, które nasiąkło bismarkowskim szowinizmem i ślepą nienawiścią do narodu polskiego. Taka metoda jest bardzo tania, bo żadnych nowych wydatków nie wymaga, i bardzo wygodna, bo nie potrzeba wysilać mózgu na sofizmata, którymi przedtem musieli się popisywać ministrowie przed sejmem i parlamentem, i wreszcie o wiele skuteczniejsza, bo prywatni obywatele, których legion, głębiej sięgną we wszystkie stosunki, aniżeli może to uczynić nawet pruska administracya. Ale że niemieckich obywateli można było użyć do takiej roli, to nazawsze pozostanie ujmą dla cywilizacyi „narodu filozofów". Jeszcze zaś większą dla niej ujmą jest to, że ci obywatele jakby się urodzili do tej roli. Założone przez Tiedemanna, Kennemanna i sp. „Stowarzyszenie szerzycieli niemczyzny" rozwija gorączkową działalność, sprowadza z Niemiec wszelkich rzemieślników, lekarzy, adwokatów, budowniczych, płaci im stałe subwencye i pokrywa ich koszta konkurencyjne. Ponieważ dziś wszyscy mniej zarabiają, niż potrzebują, przeto każdy rad płaci taniej za towary, wyroby rękodzielnicze, porady lekarskie i prawne, a chociaż solidarność uciskanego społeczeństwa polskiego jest już dość wielka, jednakże niejeden Polak dotkliwie odczuł tę importowaną i subwencyonowaną konkurencyę. Nazwać tę walkę po imieniu, pokazać ją światu bez maski, zwrócić na nią uwagę honorowych ludzi, — to obowiązek moralnego sumienia, jeśli nie bezpośrednia korzyść. Więc dlatego na sejmikach powiatowych, które teraz odbywają się w Wielkopolsce, Polacy zamierzyli wystąpić przeciw owemu „Stowarzyszeniu". Uczynił to już w imieniu polskich członków sejmiku śremskiego hr. Adam Żółtowski, złożywszy taką deklaracyę:

„Ogólne zdziwienie wywołał w powiecie fakt, że w obecnych poważnych i ciężkich czasach, w których żyjemy, niektórzy z naszych niemieckich współobywateli i sąsiadów uznali chwilę obecną za stosowną, aby przystąpić do antipolskiego Towarzystwa, t. zw. „Towarzystwa szerzenia niemczyzny". Starano się wprawdzie osłonić cele rzeczonego Towarzystwa i zamaskować jego zaczepny charakter, sądzimy jednak, że nie potrzebujemy zważać na odnośne, piękne może, ale puste frazesy. Sprawa ta jest zupełnie jasna i rozumiemy ją w ten sposób, że my, którzy czujemy się tutaj we własnym domu, uważać musimy Towarzystwo, założone celem rugowania tubylczego żywiołu, jako ciężką prowokacyę. I to tem więcej uważamy założenie takiego towarzystwa za prowokacyę, ile że mamy to przeświadczenie, że względem naszych niemieckich współobywateli postępowaliśmy zawsze poprawnie i z jak największą względnością i że przy wyborze komisyi powiatowych, mimo naszej przewagi liczebnej, oddawaliśmy głosy nasze nie ściśle według litery prawa, ale kierując się względami słuszności. Mając to przeświadczenie, byłoby może z naszej strony rzeczą słuszną, gdybyśmy nietaktowną i płonną robotę rzeczonego Towarzystwa zupełnie ignorowali. Do ułożenia niniejszej deklaracyi spowodowało nas jednak przekonanie, że winniśmy i wobec nas samych i wobec powiatu zwrócić uwagę na to, w jakim stopniu działalność rzeczonego Towarzystwa tamuje rozwój zdrowych stosunków, przyczyniając się do zaniku wzajemnego zaufania współpowiatowców i uniemożliwiając wręcz wspólne i pokojowe współdziałanie wszystkich sił. Protestujemy zatem z całą stanowczością, ażeby członkom tego Towarzystwa powierzano miejsce i głos w wydziale powiatowym i dajemy niniejszem odnośnym panom z naszej strony najwyraźniejsze i jak najbardziej stanowcze wotum nieufności, ponieważ słusznie przypuszczamy, że członkowie tego Towarzystwa, które na swym sztandarze wypisało hasło popierania jednej części mieszkańców kosztem drugiej części, nie są już zdolni sprawować urzędu swego bezstronnie i odpowiednio. Oświadczamy dalej, że cokolwiekbądź zaszło, my, jak przedtem, tak i nadal wszy tko czynić będziemy, aby wyrównać i złagodzić istniejące przeciwieństwa narodowe i przezwyciężyć ile możności trudności, powstające stąd dla administracyi powiatowej. Nasi niemieccy współobywatele nie powinni jednak nam brać za złe, jeśli mimo najwzorowszej kurtoazyi, na którą wszyscy bez różnicy i bez wyjątku z naszej strony liczyć mogą, w dziedzinie towarzyskiej, zamiast pożądanego zbliżenia się, w obecnych stosunkach nastąpi pewne naprężenie i oziębienie stosunków".

Powołaniem barona Banffy'ego na prezesa gabinetu skończyło się przesilenie węgierskie, a skończyło się tylko dlatego, że trwał za długo i nie przedstawiało żadnych widoków na polepszenie się sytuacyi. Nic nie osiągnięto. Wszystkie stronnictwa zachowały dawną postawę, dawny wzajemny stosunek, i dawne dążności. W takich warunkach mógłby właściwie pozostać Wekerle z kolegami, gdyby nie to, że osobiście stracił dużo w oczach Monarchy i gdyby nie jego zanadto wielkie oddanie się sferom giełdowym, na co z uzasadnioną obawą spoglądali ziemianie. Sojusz wszy tkich stronnictw, stojących na gruncie ugody z roku 1867, nie powiódł się wskutek niechęci liberałów, którzy wprawdzie zgadzali się na sam sojusz, ale nie chcieli, aby twórcą tej kombinacyi był „intruz" — jak oni nazywają kroackiego bana, hrabiego Khuen-Hedervary'ego. Podnieśli tedy zarzut, iż narodowcy hr. Apponyi'ego nie powinni być zapraszani do spółki z liberalnym klubem, co właśnie uczynił Hedervary, lecz muszą sami prosić o tę spółkę, bo w pierwszym wypadku trzeba coś im dać, gdy przeciwnie w drugim można od nich czegoś zażądać. Takie i h stanowisko, zajęte w ostatniej chwili pod wpływem Iiszy, Wekerlego i Szilagyi'ego, dowodzi, iż myśl o własnej przyszłości zapisali do rubryki „jakoś to będzie", a przynajmniej teraz jeszcze postanowili być jedynymi panami położenia. Wskutek tego hr. Hedervary, jak w czerwcu roku przeszłego, tak znowu teraz złożył w ręce Cesarza mandat utworzenia gabinetu i odjechał do Zagrzebia, pozyskawszy w stopniu jeszcze większym, niż w czerwcu, reputacyą „człowieka przyszłości." Ze wszystkich stronnictw węgierskich, jedno tylko liberalne stoi zwartą falangą i posiada jeśli już nie w kraju, to jeszcze w sejmie stanowczą większość, a ponieważ byłoby ryzykowną rzeczą rozpisać teraz ogólne wybory, bo nie wiadomo, jakby one wypadły dla stronnictwa katolickiego i stronnictwa Szapary'ego, które dopiero się tworzą, przeto w sferach decydujących uznano za właściwe odłożyć konieczną zmianę stosunków jeszcze na czas pewien. Przez to jednak musi się zmienić metoda przekształcenia owych stosunków. Zamierzano uczynić to łagodnie, sposobem kompromisu z liberałami, którzyby za ustępstwa na rzecz umiarkowania i tolerancyi wyznaniowej pozyskali pewność utrzymania się znowu na długie lata na stanowisku rządowego stronnictwa w spółce z innymi; teraz natomiast, kiedy tamci odtrąceni wspólnicy zdobędą należytą siłę i kiedy wskutek tego znowu nastąpi przesilenie, liberałowie będą już zupełnie wyrzuceni za nawias. Wedle przewidywań opozycyi, nastąpi to za kilka miesięcy, może za rok, ale w każdym razie nastąpi, bo liberałowie, zdaniem tej opozycyi, są podobni do ściętego kwiatu, który jeszcze żyje sokami, zawartymi w łodydze, ale zwiędnąć musi. Niezaprzeczenie i liberałowie widzą to niebezpieczeństwo, lecz liczą na Banffy'ego, że ich odświeży.

Banffy rzeczywiście wnosi z sobą dobre i ważne pierwiastki, wnosi jednak i wątpliwe. Dobre są te, że przeszedł długą szkołę administracyjną, wybornie zna wadliwy ustrój maszyny rządowej na prowincyi, czem się różni od swych poprzedników na urzędzie prezesa gabinetu, bo ci poprzednicy wprost z prywatnych obywateli i deputowanych stawali na czele rządu. Jest przytem znany ze spokojnej energii i sprężystości, co zawsze imponuje ludziom i trzyma ich we właściwych granicach. Człowiek jeszcze w sile wieku, bo urodzony w r. 1843im, skończył on dwa niemieckie uniwersytety (w Lipsku i w Berlinie), poczem zaczął służbę w administracyi komitatu siedmiogrodzkiego, gdzie jego rodzina należy do wybitnych i historycznych. O własnych siłach dobił się godności nadżupana Szolnok-Dobokaerskiego, a potem królewskiego komisarza w okręgu Naszod-Beszterecserskim i na obu tych stanowiskach zostawił najlepsze wspomnienie między Węgrami, najgorsze wśród Niemców i Rumunów, których z ogromną energią naginał do madyarskiej państwowej myśli. Kandydował od roku 1875 trzy razy do sejmu, lecz dopiero za ostatnim razem przed dwoma laty zdobył mandat i wtedy odrazu został prezydentem izby, co się stało dlatego, że ówczesny prezes gabinetu hr. Szapary, znużony skandalami wyprawianymi przez skrajną lewicę, postanowił usunąć z prezydentury przyjaciela swego, Pechy'ego, jako człowieka bardzo miękkiego, a natomiast wynieść do tej godności męża o żelaznej woli i takiej manjery, któraby onieśmielała największych warchołów. Banffy jakby stworzony był na takiego poskromiciela awanturników, między którymi słynął hr. Gabor Karolyi. Budowy tak potężnej, że się z niedźwiedziami zwycięsko boryka, wejrzenie ma jowiszowe, wzrok rozkazujący i ruchy nadzwyczaj energiczne. Hr. Szapary musiał się dużo namozolić, zanim doprowadził do tego, że 243-ma głosami przeciw 158-miu sejm wybrał Banffy'ego swym prezydentem. Lecz nikt nie pożałował tego, ani większość, ani rząd, bo skandale ustały, obrady poszły raźno, sejm, zamiast wyprawiania awantur, począł pracować. Wprawdzie niektórzy przypisują to serdecznej przyjaźni, którą Wekerle zawarł z wodzem awanturników hr. Gaborem Karolyi'm, i temu jeszcze, że liberałowie okazywać poczęli dużo grzeczności skrajnej lewicy za to, że ona popierała ustawy bezwyznaniowe; w każdym jednak razie Banffy okazał się dobrym prezydentem, a potem i mężem zaufania liberałów, do których całą duszą przylgnął. Więc jako człowiek energiczny i sprężysty, który umie rozkazywać i nakazywać posłuch, jest on dobry na szefa rządu, potrafi nawet wysoko podnieść jego powagę i utrzymać ją w chwilach wielkich rozterek. Z tego względu pokładane w nim nadzieje liberałów mogą zupełnie się ziścić. Jako rutynowany administrator, który zna nadzwyczajne wady ustroju wybieralnych zarządów komitatowych, przytem niepłatnych, a więc ułatwiających nadużycia, które się stały przysłowiowemi, będzie dążył do zamierzonej od lat wielu, lecz nigdy niewykonanej reformy administracyjnej w kierunku przyjętym już w całej Europie. Jest on pierwszym i najwybitniejszym w kraju rzecznikiem takiej reformy, więc zapewne wystąpi z odpowiednimi projektami, co będzie miało jeszcze i tę korzyść, iż odwróci uwagę od ustaw wyznaniowych, które tak silnie rozdwajają opinię. To są dobre strony Banffy'ego.

Złych także niebrak. Tu najpierw wymienić trzeba jego silny madyarski szowinizm. Nietylko Niemcy i Rumuni siedmiogrodzcy, którzy poznali jego żelazną rękę na własnych grzbietach, ale także wszystkie inne niewęgierskie narodowości spoglądają nań z tem większą niechęcią, że jeśli on scentralizuje i upaństwowi administracyę prowincyonalną, to narzędzie ucisku narodowego znacznie się powiększy. Liberalne dzienniki starają się uspokoić te obawy nie-Węgrów, zapewniają mianowicie, że Banffy innym będzie szefem gabinetu, aniżeli był nadżupanem, bo inne ma obowiązki, gdyż tam był tylko administratorem, tu będzie przeważnie politykiem; że zatem, trzymając wysoko sztandar przewagi węgierskiej, odda co słuszne innym narodowościom, aby je dla państwa pozyskać. Trudno jednak, aby te obiecanki uspokoiły obawy, uzasadnione przeszłością Banffy'ego.

Drugą wadą Banffy'ego jest jego silnie uwydatniony kalwinizm, który oczywiście najzupełniej się godzi z ustawami poniżającemi Kościół katolicki. Jako kalwin, on niezawodnie ma tę samą wrodzoną nieprzyjaźń katolicyzmu, którą tak silnie odznaczał się Tisza. Więc i katolicy mogą się obawiać, że ustawy bezwyznaniowe będą wprowadzone bardzo ściśle, zwłaszcza że liberalne dzienniki zapowiadają, iż pod tym względem gabinet Banffy'ego będzie gabinetem Wekerle-Szilagyi'ego.

Ale te wady nowego rządu są tego rodzaju, iż się zapewne staną bodźcem dla katolików i nieliberałów do prędkiej formacyi własnych stronnictw — czego życzyć należy tak w interesie Węgier, jak i Austryi, bo nie da się zaprzeczyć, że zalitawskie prądy i stosunki wpływają na drugą połowę monarchii.

Do nowego gabinetu podobno wejdą z poprzedniego ci ministrowie, którzy się osobiście nie zaangażowali do ostatnich, trwających od czerwca starć z decydującemi sferami, więc minister honwedów jen. Fejervary, baron Eötvös, hr. Andor Festetics i p. Josipovich, natomiast znikają na długo, jeśli nie na zawsze Wekerle, Szilagyi i Andrassy, którzy się posługiwali ulicznymi tłumami.

Młodoczesi o Polakach.

Pewną ciekawość obudzało pytanie, jak młodoczesi zachowają się wobec domniemanego zwrotu polityki rosyjskiej względem Polaków? Optymiści pomiędzy nami przypuszczali dotąd, że młodoczesi tylko dlatego nie potępiali głośno rosyjskiego systemu rządowego, aby drogim braciom rosyjskim nie sprawiać przykrości i nie kompromitować ich wobec Niemców. Jeżeli tylko z tej przyczyny młodoczesi w swej dyplomatycznej, powiedzmy: wstrzemięźliwości, posuwali się aż do usprawiedliwiania gwałtów, popełnionych w Krożach, to można było przewidywać, że z radością zmienią taktykę, skoro nawet w Petersburgu, o ile wnosić można z usunięcia Hurki, zaznaczy się potrzeba pewnej zmiany metody rządowej w Polsce. Słowiańskie poczucie zmusi młodoczechów do powitania z zadowolnieniem pierwszych oznak ewentualnej ugody pomiędzy Rosyą a Polską! Tak rozumowali uczciwi pomiędzy nami optymiści, nieobeznani dokładniej z charakterem stronnictwa młodoczeskiego. Nie mogliśmy podzielać tych złudzeń. Domniemane uczucia słowiańskie młodoczechów nie są niczem innem, jak sztucznym, ale tem fantastyczniejszym kultem Rosyi, posuniętym tak daleko, że nienawidzą każdego, kto śmie żądać od Rosyi sprawiedliwości, a każde ustępstwo, któreby mogła uczynić, choć w imię słuszności, wolności, równouprawienia, postępu i t. d., sprawia im taką boleść, jak gdyby oni sami byli zmuszeni do srogich ofiar. Słowem, ci młodoczescy Moskale nad Wełtawą są bardziej Moskalami, niż rodowici Moskale, a przynajmniej dorównywują tym z pomiędzy tych, którzy do nas pałają najżywszą nienawiścią.

Tę prawdę bardzo dobitnie odsłonił ogłoszony w 11-tym numerze *Narodnich listów* długi artykuł pod tytułem: „Polacy". Przebija z niego nie zadowolnienie z domniemanego zwrotu w polityce rosyjskiej, lecz obawa, że mógłby na prawdę nastać; dlatego organ młodoczeski zawczasu ostrzega Rosyę przed wszelkiemi ustępstwami, co do nas zaś formułuje mniej więcej te same żądania, które niedawno temu wygłosiły *Moskewskie Wiedomosti*, a więc abyśmy się zrzekli wszelkiej samoistności narodowej.

Oto niektóre ciekawsze ustępy z tego artykułu: „Codziennie spotykamy się w dziennikach z depeszami o uprzejmości cara Mikołaja II względem Polaków. Wszystkie te doniesienia mają ten sens, że car pragnie Polaków pozyskać, ale Polacy, znając swą cenę, drożą się, aż im ofiaruje więcej. Doniesienia te całkiem się zgadzają z dawniejszemi o rzekomej przyjaźni cara dla Niemców i żydów. Są to wszystko, jak mówią Rosyanie „próżne mary", balony na próbę. Celem ich jest skłonić Rosyę do wypowiedzenia, coby zechciała uczynić dla Polaków. Znane też jest miejsce, gdzie te balony puszczają. Jest to ten miły Lwów, gdzie w roku zeszłym zjawiła się panorama bitwy pod Racławicami, w której niby to polscy powstańcy odnieśli nad Rusami świetne zwycięstwo, gdy według źródeł rosyjskich, była to nic nieznacząca bójka. Według największego z tych lwowskich balonów, car Mikołaj zamierza uspokoić Polaków według tego wzoru, według którego Austrya z nich zrobiła najwierniejsze sługi.. To jednak przy najlepszej woli cara nie przyszłoby tak łatwo, jak sobie wyobrażają lwowscy agenci dziennikarscy.

„Austrya w Galicyi naprawdę nie uczyniła niczego na korzyść narodu polskiego; co uczyniła, przynosiło zawsze korzyści tylko szlachcie. Społeczeństwo polskie w Galicyi już bardzo wyraźnie różni się od społeczeństwa polskiego w rosyjskiej Polsce. Już dlatego, w Rosyi nie można rozwiązywać kwestyi polskiej według metody galicyjskiej. System szlachecki wymaga, aby lud był utrzymywany w stanie niewiadomości, inaczej szlachta nie mogłaby grać roli jego kuratora. Nie potrzeba ku temu wielkiej politycznej bystrości, aby zrozumieć.

---

6)

KTO ON?

(Dokończenie).

Ale nie przeszło widać, bo kolana pod nią uginały się, i gdybym jej nie trzymał, upadłaby z pewnością.

— Ty naprawdę nie jesteś zdrowa — rzekłem niespokojnie — ja cię tak nie mogę pozostawić, ja...

Urwałem. Cisnęło mi się na usta: „Nie mogę jechać w tej chwili", ale oczywiście o wstrzymaniu wyjazdu nie mogło byc mowy. Ona zrozumiała mnie.

— Gdyby tak daleko rzeczy nie zaszły, i moi towarzysze podróży nie czekali na mnie w Londynie...

Przerwała mi z uśmiechem, kładąc żartobliwie swą rękę na moich ustach.

— Nie wstyd to takie dziecińśtwa mówić, członkowi Akademii Umiejętności? — rzekła. — Czy myślisz, żebym pozwoliła na wstrzymanie wyjazdu twego, na pokrzyżowanie planów i nieobliczone szkody dla nauki, dla ciebie? Choćbym konała, ostatnim wysiłkiem wyprawiłabym cię. Ale zresztą o czem tu mówić? Ja przecież jestem zdrowa, całkiem zdrowa. Twój wyjazd nerwy mi poruszył trochę, ale ta odrobina osłabienia przejdzie prędko bez śladu.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością i mniejszym już niepokojem.

— Jakaś ty poczciwa, Wandziu moja — szepnąłem — jaka poczciwa!

— Dajże mi spokój — rzekła, starając się uśmiechnąć — jestem tylko szczerą i nie chcę cię martwić bez żadnej racyi. Ot, podaj mi rękę i chodźmy do ogrodu, bo tu stęchlizna oddech zapiera.

Szliśmy powoli aleją, ale rozmowa nie kleiła się. Mnie w myśli wciąż się kręciła moja biedna Astarte połamana z rysami Wandzi na twarzy. Ona wracała do wspomnień lat minionych, do chwil razem spędzonych i przypomniawszy jednę z nich, urywała nagle.

— Czy wiesz — rzekłem po jednej z takich pauz, ażeby przerwać milczenie — że Mścisław ma mi towarzyszyć w pewnej części mej podróży?

— Doprawdy? — odparła obojętnie. — Nie mówiłeś mi o tem.

— Bo w ostatnich dniach dopiero napisał mi o swoim zamiarze, a wśród kłopotów i pakowań przedwyjezdnych wyleciało mi to z głowy. Plan wyprawy zainteresował go, chce przez pewien czas towarzyszyć jako wolontaryusz.

— Cieszę się z tego — rzekła — będziesz miał miłego towarzysza, a wyznaję, że i spokojniejszą będę, wiedząc, że będziecie razem.

— Jeśli mam być szczerym — odrzekłem, uśmiechając się — to wolałbym was dwoje zostawiać razem.

Ruszyła lekko ramionami.

— Wiesz przecież, mój Tadziu, że go nie kochałam, nie mogła więc być z nas para.

— Możebyś pokochała kiedyś.

— Nie mogłabym nigdy — odrzekła z naciskiem, stłumionym ale stanowczym głosem.

— Czy wiesz, Wandziu, że mi czasem przychodzi na myśl, czy to, co słyszałem przed laty o tobie, nie było prawdą. Inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć odmowy danej Mścisławowi, nie mówiąc już o innych.

Podniosła głowę i spokojnie ale łagodnie spojrzała mi prosto w oczy.

— Mówili ci ludzie, że jestem kimś zajęta? Kiedyś, przed laty, wspominałeś mi o tem.

— Czy nie mieli racyi?

Uśmiechnęła się niewyraźnie jakoś i odwróciła odemnie głowę.

— Może i mieli racyę — szepnęła.

— A więc to była prawda — zawołałem — a ja myślałem... Ale teraz przynajmniej powiesz mi, kto to, był... musisz mi powiedzieć.

Odsunęła się z lekka, unikając mego wzroku i potrząsając głową w milczeniu.

Czyżby się tej miłości wstydziła? Więc prawdą było to, co o tem ludzie gadali przed laty? Więc on nie był jej wart, tak dalece, że przez tyle czasu mnie, najbliższemu, bratu, nie odważyła się wymienić jego nazwiska?

A może go kochała jeszcze?

Myśli kotłowały mi w głowie, krzyżując się i łamiąc. Zrobiło mi się niezmiernie przykro i ciężko.

— Wandziu — rzekłem do niej, przyciskając ją do siebie. — Wandziu moja, ja mam prawo wiedzieć, ja brat twój, najbliższy tobie. Któż cię więcej kocha niż ja; komuż powiesz, jeżeli nie mnie?

Wyrwała mi się i niepewnym krokiem zaczęła iść sama po drugiej stronie alei.

— Nikomu, nikomu — rzekła wreszcie, nie patrząc na mnie.

— A gdybym cię prosił, jak przyjaciel najlepszy, gdybym żądał jak brat... nie powiedziałabyś?

— Nigdy!

Robiło mi się coraz przykrzej.

— Czy wiesz, Wandziu, że twoje milczenie dziwne może budzić podejrzenia... że może potwierdza ludzkie gadania o tem... takie dziwne.

Zwróciła się do mnie po raz pierwszy, blada, z palącemi się oczyma.

— Cóż ludzie mówili?

— Nazywali go niegodnym ciebie.

Wstrząsnęła się.

— To nieprawda — rzekła gwałtownie. — Jestto człowiek honoru, zacny i prawy, jak niewielu.

Dzięki Bogu i za to, pomyślałem.

— Ale zarzuty ich były innego rodzaju.

— Mianowicie?

— Wedle nich był to mól książkowy, niezdara i...

— I? Mów szczerze.

— Przepraszam cię, ale sama chcesz: idyota.

Ku memu niemałemu zdziwieniu kąty ust, ściągnięte nerwowo przed chwilą, zaczęły nagle u Wandzi drgać, jakby z ochoty do śmiechu. Ale było to zapewne coś spazmatycznego.

— Słyszałeś to naprawdę?

— Niestety!

— Słyszałeś wielki nonsens, mój Tadziu. Ten, który... o którym słyszałeś, jest rzeczywiście trochę... trochę ekscentrycznym, trochę jednostronnym, może nawet odrobinę... dziwakiem.

— A widzisz! I ty takiemu mogłaś oddać serce!

Uśmiechnęła się smutnie, ale znów jakby zagadkowo czegoś.

— Poczekaj, kończyła; jest on takim, ale dlatego tylko, że jest człowiekiem wielkiej myśli, wyjątkowego talentu i wyjątkowej pracy. Serce jego ukochało ideał bardzo wysoki i bardzo promienny, oczy zapatrzone w słońce nie zwracają się na małostki życia, nie dziw, że czasem noga mu się potknie o jaki czczy konwenans światowy, nie dziw, że go nie zrozumieją, nie ocenią mniejsi i gorsi od niego.

Mówiła z zapałem, rozogniona, drżąca. Cała dusza jej była w tych słowach. Słuchałem zdumiony, przerażony prawie.

— Ależ moja Wandziu, ty go kochasz dziś jeszcze — zawołałem.

Spojrzała na mnie swym miękkim, aksamitnym wzrokiem i zwolna pochyliła głowę.

Nie wiem czemu, poczułem w tej chwili niechęć do tego nieznanego człowieka, który umiał tak zupełnie zawładnąć tem sercem, dotąd, myślałem, oddanem mi wyłącznie.

— Więc tak go kochasz, tak bardzo, nadewszystko? Więcej odemnie?

Uśmiechnęła się znowu.

— Więcej od ciebie? Nie, mój Tadziu. Jak ciebie.

— Ależ przez litość, dlaczego? Takie uczucie, tyle lat — ty piękna, bogata, czarująca ...dlaczego?

Przez chwilę nie odpowiadała mi.

— Bóg nie chciał — szepnęła wreszcie.

— Ależ on wiedział o tem?

Wstrząsnęła głową.

— Nie — odrzekła — ani się domyślał. Nie wie o tem nic... aż do dziś.

— Więc żyje dotąd? I jest wolny?

Skinęła głową w milczeniu.

— Ale w takim razie... Dla czegoż nie zwierzyłaś mi się... Może on nie śmiał, może niżej stał od ciebie, może jakie przeszkody... Możebym mógł pośredniczyć, zapewnić ci szczęście...

— Niechże Bóg broni — rzekła poważnie. — Któż wie, czy ta miłość dałaby mu szczęście? Zresztą — on mnie nie kochał... przynajmniej nie tak. Czy sądzisz, że moja godność pozwoliłaby na połączenie z nim w takich warunkach? A przytem — on szczęśliwy tak jak jest...

— Ale ty!

— Ja, cieszę się jego szczęściem, żyję i żyć będę myślą o nim, modlitwą za niego — tak jak żyję modlitwą za ciebie i myślą o tobie, mój Tadziu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Miałem takie wrażenie jakby przedemną otwarła się przepaść. Żal za tą biedną kobietą, najlepszą towarzyszką i przyjaciółką od lat tylu, rozpierał mi poprostu piersi.

— Więc on nigdy nie będzie wiedzieć, więc ty z nim nigdy, nigdy...

Podniosła rękę w górę i uśmiechnęła się łagodnie.

— Ale któż to być może? — krzyknąłem niemal w rozpaczy. — Przecież ja znam prawie tych wszystkich, których ty znasz i znać możesz. A tymczasem biedzę się, szukam, kombinuję — i nikogo podobnego, nikogo.

Położyła mi rękę na ramieniu.

— Nie szukaj i nie męcz się daremnie. Nie trafisz. I na co tobie?

— Czy go choć znam?

Znów uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała.

— Dajmy pokój temu — rzekła wreszcie. — Wierz mi, niepotrzebnie się tem zgryzłeś. Był to sen lat moich młodych, sen złoty, ale sny nie sprawdzają się. Zostało mi z niego więcej, niż zwykle sny zostawiają: trochę jasnych wspomnień i spokojne, siostrzane uczucie, którego nie zmieni ani zmniejszy nic w życiu a skończy — śmierć chyba.

W chwilę potem rozstaliśmy się. I oto ona już odjechała odemnie, a ja stoję wciąż myśląc o jej ostatnich słowach, i wciąż bije mi się w mózgu pytanie, kto jest ten człowiek, którego ona ukochała tak gorąco, od tak dawna, w tak zupełnej tajemnicy przedemną? Chodzę po salach muzealnych i po galeryach napełnionych podróżnymi kuframi, słucham z roztargnieniem pytań i uwag służby, gotującej wszystko do drogi, a w myśli mam jedno i jedno:

— Kto on?

K O N I E C.

Jan Łada.

że według wzoru galicyjskiego, Rosya nie rozwiąże swojej kwestyi polskiej, nie odnowi panowania szlachty w Kongresówce i nie da szlachcie polskiej jako podnóża, ani polskiego, ani ruskiego ludu“.

Pomimo wrodzonej młodoczechom idyosynkrazyi przeciwko szlachcie, w danym razie jest ona tylko pretekstem. Bo nawet *Narodnim Listom* niepodobna przypisać takiego braku inteligencyi, aby sądziły, że Sejm, szkoły polskie, polski język w urzędach, wolność prasy etc. etc., są jedynie korzyścią dla szlachty, a nie dla narodu polskiego w Galicyi, albo, że w Kongresówce włościanie nasi pod systemem rosyjskim mogą nabywać większego wykształcenia, niż w Galicyi! Deklamacye przeciwko szlachcie stanowią zatem tylko pretekst, aby ostrzegać przed wszelkiemi ustępstwami dla Polaków.

Według wzoru austryackiego więc Rosya nie może rozwiązać kwestyi polskiej. Jak więc należy ją rozwiązać? Tu *Narodni Listy* powtarzają poprostu za *Moskiewskiemi Wiedomostiami* frazes, aby Polacy „przystąpili do rosyjskiej myśli państwowej“. Dalej, jeszcze *post festum*, organ młodoczeski uprawiedliwia Hurkę, że musiał wydalić Polaków ze służby na kolejach żelaznych, ponieważ groziła wojna z ligą potrójną, a należało się obawiać, że Polacy popierać ją będą przeciwko Rosyi! „Według tego przykładu można mierzyć wszystkie inne skargi Polaków“. Doprawdy, wszystkie? Więc n. p. z obawy, że gimnazyaści nasi stanęliby po stronie ligi potrójnej, muszą być wykładane wszystkie przedmioty po rosyjsku? Albo z obawy przed ligą potrójną, broni się Polakom nabywać dóbr na Litwie lub na Wołyniu? Albo ta obawa wymaga, aby Polaków nawet w stosunkach towarzyskich w Warszawie traktować brutalnie, jak to czynił p. Hurko? etc. etc. Nie, racyą stanu *Narodni Listy* nie zdołają usprawiedliwić systemu dotychczasowego.

Prawda, że w Kongresówce od r. 1815 do 1830 posiadaliśmy instytucye narodowe. *Narodni Listy* z ogromną radością przytaczają odnośne, niefortunne wynurzenia p. Chociszewskiego w *Dzienniku kujawskim*, które wprawdzie przypominają, że nie trzeba urządzać powstania bez dostatecznych sił, ale żadną miarą nie dowodzą, aby teraźniejszy system rosyjski w Polsce był sprawiedliwy, albo znośny.

Konkluzya organu młodoczeskiego jest taka: „Ugoda rosyjsko-polska nastanie dopiero wtedy, gdy Polacy przestaną spekulować na pokonanie lub oszukanie (!) Rosyan, lecz zbliżą się do nich z zupełną bratnią szczerością i z przekonaniem, że mogą być silnymi jedynie, gdy Rosya będzie silną, że mogą się rozwijać jedynie, gdy się Rosya rozwijać będzie, że na odwrót szkoda Rosyi jest także ich szkodą. Dopiero gdy taki rodzaj patryotów (!) nabędzie w polskiem społeczeństwie przewagi, stanie się łatwem rozwiązanie kwestyi polskiej. Ale dopóki polskiemi sprawami w Rosyi kierują panowie z lwowskich i wiedeńskich redakcyi (!!), nie trzeba się oddawać nadziejom, aby kwestya polsko-rosyjska była wkrótce rozwiązana z korzyścią dla obu stron“.

Narodni Listy więc ostrzegają Rosyę przed wszelkiemi ustępstwami według wzoru austryackiego, nam zaś zalecają zupełne wyrzeknięcie się nietylko wspomnień historycznych, ale w ogóle wszelkiej samoistności narodowej, proste zlanie się z Rosyanami, poczem istotnie wszelkie rozwiązywanie kwestyi polsko-rosyjskiej stałoby się całkiem zbytecznem. Najzaciętszy organ moskiewski nie może od nas żądać więcej. Tak to przemawia organ „wolnomyślny“, broniący Czechów od germanizacyi, domagający się przywrócenia prawa historycznego z przed r. 1618, żądający autonomii narodowej dla Czechów, a odmawiający jej stanowczo Polakom!

Pocieszać się sofizmatem, że głos dziennika nie jest głosem narodu, w danym razie byłoby błędem. Zapewne nie cały naród czeski podziela opinię *Narodnich listów*. Może nawet w stronnictwie młodoczeskiem znajdują się jednostki, które nie pochwalają tej taktyki wymienionego organu. Niewątpliwie jednak odzwierciedla on przeciętne wyobrażenia całego obozu młodoczeskiego. Systematyczna agitacya russofilska od 30 lat dokonała tego, że w tym obozie zapał dla Rosyi i niechęć do nas stały się jednym z głównych artykułów politycznego katechizmu. Organ p. Juliusza Gregra posiada tak delikatny zmysł, powiedzmy trywialnie: węch, że nie odważyłby się nigdy występować z podobnemi wynurzeniami, gdyby nie wiedział doskonale, że one trafiają do serca i przekonania mas młodoczeskich. Na odwrót można być pewnym, że żaden wpływowy polityk młodoczeski nie śmiałby publicznie zganić tych i podobnych antipolskich wynurzeń *Narodnich Listów* Nawet zasadnicze uwielbienie rusofilów młodoczeskich dla wszechwładnego cara słabnie, gdy go można posądzić o gotowość do ustępstw dla Polaków!

Korespondencye.

Wiedeń 9 stycznia.

W projekcie nowej procedury cywilnej ograniczono kompetencyę sądów polubownych giełdy towarowej. Pisma wiedeńskie żalą się na to, przepowiadając, jak zwykle w podobnych razach, kiedy chodzi specyalnie o obronę pewnych koteryi, upadek handlu zbożowego w stolicy austryackiej. Ściśle rzecz biorąc, nie można nawet mówić o jakim dalszym upadku tego handlu, bo już dziś właściwie handlu zbożowego w Wiedniu nie ma. Postanowienie, żeby sądy rozjemcze giełd — bez różnicy, a więc: walorów zarówno, jak towarowych — mogły tylko rozstrzygać w takich wypadkach, jeśli obie strony sporne są członkami giełdy, w rzeczy samej odpowiada głęboko odczutej potrzebie szerokich kół. Dotychczas kupiec, czy rolnik, sprzedający zboże bez względu na to, czy był członkiem giełdy, czy nie, podlegał sądownictwu instytutu giełdowego, jeśli tylko druga strona kontraktowa była członkiem giełdy i jeśli przy transakcyi zawarowano kompetencyę sądu rozjemczego.

Otóż nie było prawie wypadku, aby tej kompetencyi nie wymawiał sobie przy kontrakcie który z członków giełdy. Wyroki zaś sądów tych mają moc obowiązującą tak samo, jak państwowe i uprawniają do prowadzenia egzekucyi. Co więcej: od wyroków takich nie ma odwołania do instytucyi wyższych i tylko w razie błędów formalnych, lub w razie oszukańczych jakichś manipulacyi można unieważnić orzeczenie sądów giełdowych. Rolnik galicyjski, morawski czy tyrolski, który sprzedał swój towar wiedeńskiemu kupcowi i potem ma jakiś spór z nim, nie może zastępstwa swych interesów poruczyć adwokatowi. Przed sądem bowiem rozjemczym w takiej roli mogą występować tylko ajenci lub kupcy będący członkami giełdy. Wszystkie te ograniczenia doprowadzić musiały do pewnych nadużyć. Leży to już bowiem w naturze ludzkiej, że przywileje często psują obdarzonych nimi — a w świecie kupieckim takie przywileje wprost już są niebezpieczne.

Projekt procedury cywilnej, zawierający postanowienie, żeby sąd rozjemczy mógł tylko sprawy między członkami giełdy rozpatrywać, załatwił więc kwestyę długo już przez sfery rolników na prowincyi głęboko odczuwaną w całej jej jednostronności i niesłuszności.

Dla spekulantów, którzy nie mając ani kilograma zboża w posiadaniu, kupują i sprzedają całe wagony produktów rolniczych i dla łatwiejszego przeprowadzenia tych transakcyi z góry godzą się na wszystkie warunki przyjęte w zwyczajnym handlu giełdowym, co najwięcej nastałaby konieczność zapisywania się na listę członków giełdy, jeśli chcieliby bez trudności dalej angażować się na zwyżkę, lub zniżkę towaru. Spekulacya pokątna, kryjąca się za pośrednikami i ajentami, ucierpi może, ale co za szkoda ztąd dla handlu rzeczywistego?

Każdą ustawę, godzącą w samą tylko spekulacyę, należałoby owszem witać jak najsympatyczniej. W całej bowiem Europie zapanował nowy szał skupowania papierów bardzo dwuznacznych i rzucania się w przedsiębiorstwa ryzykowne; widzimy objawy te same w Paryżu, Berlinie, Londynie, a nie w ostatnim rzędzie w Wiedniu. Że 3procentowa renta francuska przekroczyła już dawno kurs 100 i o 2.75 pct. w ciągu jednego roku się podniosła, to może być dowodem dość pomyślnych stosunków finansowych. Ale że akcye banku ottomańskiego np. w Paryżu podniosły się z 602 na 673.75 o blisko 12 pct, że papiery kopalni miedzi (Rio) pod koczyły o 3 pct. mimo przesilenia na targu kruszców, że akcye kanału Sueskiego podniosły się o 379 franków na 3105, że nowe objawia się zamiłowanie dla takich nawet zdyskredytowanych papierów, jak renta portugalska, jak południowo amerykańskie i afrykańskie papiery, to chyba nie jest dowodem zdrowej spekulacyi.

W Londynie napływ złota stał się przyczyną istnych kłopotów dla targu. Bank miał ogromne rezerwy, przewyższające 400,000.000 zł., od końca lutego 1893 stopa procentowa nie mogła przekroczyć 2 pct. (na weksle w banku eskontowane). Na targu ofiarowywali przedsiębiorcy prywatni kredyty trzymiesięczne na zasadzie $^5/_8$ pct. za rok, za depozyty oddawane bankom nie można było ociągać nawet pół pct. za rok! Taka obfitość gotówki niejedno tłumaczy. Zakładano nowe przedsiębiorstwa, pożyczano pieniędzy obcym państwom, skupowano bardzo słabym kredytem cieszące się papiery hiszpańskie, portugalskie i urugwajskie. Na emisye nowe i zakładanie przedsiębiorstw nowych wydano 1.200,000.000 zł., a takie papiery, jak urugwajskie, których przed rokiem nikt kupować nie chciał, podskoczyły z kursu 35 na 50, tj. o 42 pct. przeszło.

Przedsiębiorczość, nie mając dla siebie pola w domu, rzuciła się na eksploatacyę złota w Afryce. Rozpowiadano bajeczne wieści o bogactwie złota w transvaalskiej republice. Przed dziesięciu laty była to istna pustynia. Dziś mimo żółtej febry, dziesiątkującej Europejczyków, koleje, telegrafy i telefony łączą Capetown i Johannesburg z Praetorią, zatokę Delagoa z Transvaalem. Na licznych punktach kraju powstały miasta z teatrami, kościołami i świątyniami. Cudów tych dokonało złoto, którego dziś wydobywa się do 2 milionów uncyi rocznie. W r. 1893 eksploatacya wynosiła tylko 1,478.000 uncyi; w r. 1894 przekroczyła jak się zdaje sumę 2 milionów. Akcye towarzystw ogromnie się podniosły — a nawet papiery takich przedsiębiorstw, które wcale jeszcze nie płaciły dywidendy i których działalność właściwa jeszcze się nie rozpoczęła przez rok podskoczyły o 25%—50% w kursie. Nowa gorączka „Kalifornijska“ zapanowała w Londynie. Za 600 milionów reńskich obiega dziś akcyi przedsiębiorstw południowo afrykańskich Kompanie na razie sprzedają nie złoto znalezione ale akcye. Blisko 33% żadnej nie płaci dywidendy a mimo to publiczność ślepo wierzy w skarby, które czekają przedsiębiorców i jedno towarzystwo: Modderfontein Compagnie umiała tak dobrze zareklamować swoje kopalnie, że w ciągu roku po koniec 1894 akcye jej z 3 zł. podskoczyły na 120 złr.!

Dość tych illustracyi wielkiego targu angielskiego. Podczas gdy nad Tamizą nie wiedzą, co z gotówką począć, w Austro-Węgrzech rolnicy nie wiedzą, jak raty bankowe płacić. Czy nie możnaby tych ogromnych kapitałów wędrujących na nowo do Urugwaju i Afryki południowej ściągnąć do nas, aby uzyskać niższy procent bankowy dla uczciwie pracujących warstw ludności? Czy nie byłoby pewniejszem lokowanie pieniędzy w listach zastawnych na grunta i realności wydanych, niż w akcyach opartych na złocie, „którego się szuka“?

Spekulacya stwarzająca nowe źródła zarobku z pewnością jest uznania godną, ale ta sama siebie pochłaniająca namiętność i żądza zysków nieobliczalnych, która w całej Europie silniej i coraz silniej występuje, jest nieszczęściem. Odejmuje ona najżywotniejsze siły społeczeństwu, utrudnia prawidłowy obieg pieniędzy, sprowadza drożyznę papierów bankowych i innych, a równocześnie jest przyczyną taniości produktów pracy ludzkiej. Dlatego zwalczanie podobnej spekulacyi nakazuje nietylko moralność, ale i rozsądna polityka ekonomiczna.

Berlin 6 stycznia.

W obozie zachowawców i narodowo-liberalnych utrwala się coraz bardziej przekonanie, że znajdujemy się obecnie w okresie przejściowym, że mianowicie ks. Hohenlohe już ze względu na wiek swój sędziwy niedługo złoży swój urząd i ustąpi miejsce młodszemu i energiczniejszemu następcy. W sferach politycznych zaczynają już wymieniać tego następcę. Pojawia się więc nie wiadomo po raz który na widowni publicznej nanowo kandydatura jenerała hr. Waldersee'a, obdarowanego świeżo wysokiem orderem Orła Czarnego. Podług wszelkiego prawdopobieństwa, właśnie ta dekoracya jest źródłem pogłosek o blizkiem jakoby objęciu urzędu kanclerskiego przez hr. Waldersee'a. Inni znów upatrują „męża przyszłości“ w dzisiejszym ambasadorze niemieckim przy dworze wiedeńskim, hr. Filipie Eulenburgu, głowie potężnej i cieszącej się na dworze berlińskim wielkimi wpływami kliki Eulenburgów. Nawiasem mówiąc, hr. Filip jest osobistym przyjacielem cesarza. Nie myślimy wdawać się w roztrząsanie, ile w tych pogłoskach i plotkach mieści się prawdy. To tylko rzeczą jest pewną, że siedemdziesięciokilkoletni, a nie cieszący się przy tem zbyt silnem zdrowiem, obecny kanclerz nie podoła na długo ciężkim nadzwyczaj obowiązkom swego urzędu i w niedalekiej przyszłości będzie zmuszony złożyć swą godność.

Z myślami ustąpienia nosi się także długoletni prezes parlamentu, p. Levetzow. Smutna, a przynajmniej podrzędna rola, jaką odegrał ten kierownik reprezentacyi narodu podczas uroczystości poświęcenia nowego gmachu parlamentu, zjednała mu liczne napaści ze strony prasy radykalnej. Zarzucano mu mianowicie, że będąc głównym i pierwszym reprezentantem narodu niemieckiego, występował w mundurze pruskiego majora, że wogóle nie umiał należycie zaznaczyć swego stanowiska i dał się zepchnąć na szary koniec, chociaż jako właściwemu gospodarzowi nowego gmachu, przysługiwała mu główna rola. Miarę tego dopełnił fakt, że prezes parlamentu głosował za projektem rządowym, mającym na celu ograniczenie przywilejów reprezentacyi narodu na korzyść władzy wykonawczej. Napaści te, czy zarzuty, przyznać trzeba, że po części uzasadnione, zniechęciły do tego stopnia p. Levetzowa, że wyraził kilkakrotnie zamiar złożenia swej godności, nie połączonej zresztą z żadnemi materyalnemi korzyściami. Gdy bowiem w innych krajach, a zwłaszcza we Francyi, prezes parlamentu pobiera królewskie nieledwie dochody, w Niemczech nie otrzymuje nawet wolnego mieszkania. Przy dość podrzędnej zaś roli, jaką w niemieckiem życiu publicznem odgrywa parlament, przynajmniej w porównaniu z władzą wykonawczą i innego rodzaju korzyści, oraz atrybucye, przysługujące prezesowi, nie są zbyt wielkie.

Być jednak może, że w stanowczej chwili p. Levetzow, który uprzejmem i bezstronnem kierowaniem obradami, zjednał sobie szacunek u wszystkich bez wyjątku stronnictw, da się uprosić i zaniecha swego zamiaru. W rzeczy też samej trudnoby zwłaszcza w obecnej chwili znaleźć jako tako odpowiedniego następcę. Narodowo-liberalni forytują wprawdzie, chociaż pół ręką tylko, na fotel prezesa parlamentu swego przywódzcę, p. Bennigsena. Kandydatura ta jednak nie ma najmniejszych widoków, gdyż spotyka się z zaciętą opozycyą rozstrzygającego w dzisiejszym parlamencie stronnictwa centrum, które nigdy nie zgodzi się na powierzenie najwyższej godności obywatelskiej jednemu z najzaciętszych przeciwników Kościoła i głównych swojego czasu wodzów w walce wyznaniowej. Wyboru zaś członka stonnictwa katolickiego na prezesa nie dopuści protestancka większość parlamentu. Być jednak może, iż rozwiązanie parlamentu rozwiąże także kwestyę wyboru prezesa tego ciała.

Tą ewentualnością grozi przynajmniej coraz częściej w ostatnich czasach prasa półurzędowa. Co prawda, nie wiadomo, które dzienniki zaliczać obecnie wypada do prasy półurzędowej. Po ustąpieniu bowiem hr. Capriviego i powołaniu na urząd kanclerza ks. Hohenlohego, miała nastąpić gruntowna reorganizacya tej prasy, a mianowicie cała działalność publicystyki półurzędowej miała się odtąd skupiać w tak zwanym „królewskiem literackiem biurze“, którego redakcyę powierzono sprowadzonemu w tym celu ze Strasburga, przez nowego ministra spraw wewnętrznych, p. Köllera, asesorowi Sachsowi. Tymczasem jednak *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, *Berliner Correspondenz* (organ przyboczny ministra skarbu, p. Miquela), *Hannoverscher Courier* i inne, podają w dalszym ciągu wiadomości pochodzące niewątpliwie z półurzędowego źródła. Ta jedynie zaszła zmiana na lepsze, że dzienniki te nie prowadzą już dziś, jak to się działo dość często za rządów poprzedniego kanclerza, zaciętej wojny pomiędzy sobą.

Pomimo rozpaczliwych skarg na coraz groźniejszy zastój ekonomiczny, na upadek rolnictwa, handlu i przemysłu, karnawał zapowiada się w Berlinie w tym roku wyjątkowo świetnie. Znaczna bowiem liczba arystokratycznych rodzin z całych Niemiec przybyła już do nadsprewskiej stolicy, z zamiarem prowadzenia podczas zimy otwartego domu. Tutejsza zaś arystokracya finansowa pod względem świetności przyjęć nie pozostanie w tyle po za arystokracyą rodową. Z prywatnemi zaś temi zabawami współzawodniczyć będą bale, urządzane przez niezliczone mnóstwo, stanowiących cechę charakterystyczną niemieckiego życia publicznego, najrozmaitszego rodzaju kół, kółek stowarzyszeń i związków. Początek pod tym względem zrobił już „Związek niemieckich literatów“, urządzając onegdaj wielki bal kostyumowy. Kostyumów, co prawda, nie było na tym balu zbyt wiele, zabawy jeszcze mniej — zawsze jednak zwyczajowi stało się zadość i pierwsze lody przełamano. Odtąd bale publiczne gonić się będą w nieprzerwanym szeregu aż blizko do Wielkiej Nocy; rozbawieni bowiem berlińczycy nie liczą się z Popielcem.

W braku odznaczających się cokolwiek wybitniejszemi zaletami nowości oryginalnych, teatry tutejsze posługują się francuskim repertuarem lub wznawianiem starszych utworów. Tak w królewskim „Schauspielhaus“ wystawiono starą jak świat i niewymownie nudną trylogię bohaterską Hebbel'a „Die Niebelungen“. W „Deutsches Theater“, który pod kierunkiem nowego swego dyrektora dra Brahma (Abrahama) stał się głównym przybytkiem realizmu czy naturalizmu, dzierży Ibsen samodzielne niemal panowanie. Obecnie grasują na tej scenie „Upiory“ skandynawskiego dramaturga, a w sobotę nadchodzącą pojawi się na tej scenie najnowszy jego utwór „Mały Eylof“ (Klein Eylof). Teatr „Pod Lipami“ przygotowuje najnowszą operetkę Millöckera „Der Probekuss“.

Z Nowym rokiem weszła tu w użycie nowa książka adresowa w dwóch olbrzymich tomach. Suche to na pierwszy rzut oka dzieło zawiera mnóstwo ciekawych szczegółów. Stanowi bowiem najdokładniejszy opis miasta. Podaję kilka najważniejszych szczegółów: Z końcem r. z. wynosiła w Berlinie liczba ulic 983, ogrodów publicznych 10, placów 104, mostów 66, kościołów i kaplic 77, a mianowicie 50 protestanckich, 9 katolickich, 1 angielski, 10 dysydenckich, 3 kaplice metodystów i oprócz tego 11 bóżnic żydowskich. Teatrów jest obecnie w Berlinie 24, cyrków 2. Liczba zakładów leczniczych wynosi 28, stacyi sanitarnych 20, szpitalów 15, szkół miejskich 206. Dalej jest w Berlinie 16 kuchni ludowych, 8 kuchni dla dzieci i 8 domów dla sierót. Lóż masońskich najrozmaitszych odcieni liczy stolica Niemiec 48. Olbrzymi jest ruch na polu najrozmaitszego rodzaju stowarzyszeń. W księdze adresowej znajdujemy zapisanych ogółem 1134 towarzystwa: 30 lekarskich, 64 śpiewu, 45 stenografii, 23 gimnastyczne, 101 humanitarnych i towarzyskich, 39 towarzystw kredytowych, 95 wojskowych, 11 nauczycielskich i t. d. Dowiadujemy się dalej, że wychodzi w Berlinie 812 pism, w tej liczbie 67 urzędowych, 63 polityczne, 206 poświęconych sztuce i literaturze, 476 handlowych i przemysłowo-zawodowych. Ciekawe światło na ogromny ruch przemysłowy rzucają ogromne liczby samodzielnych rzemieślników. Krawców wylicza księga adresowa 8524, szewców 5600, stolarzy 3260, piekarzy 1498, rzeźników 2200, cyrulików 848, fryzyerów 480, restauratorów 4707, szynkarzy 2208 i t. d. Ale obok tego są także zawody bez żadnej prawie konkurencyi. W całem mieście istnieje n. p. tylko jeden handel krwią, a dwa składy pijawek.

Anglik o Francuzach.

VII.

Z malarzy nowej epoki Descamps należał do bardzo oryginalnych i wytworzył nawet szkołę, ale całe życie trapił się tem, co o nim powiedzą. Umarł tak jak Géricault, spadłszy z konia, lecz na wiele lat przed śmiercią przestał tworzyć, twierdząc, że już nie wiele dodaćby mógł do swojej sławy. Rok 1855-ty rozbrzmiewał jego imieniem, na wystawie ówczej miał przeszło 50 swoich obrazów, atoli za kilka z nich, którym w poprzednich latach odmówiono miejsca w „Salonie“, serce krwawiło mu się dotąd i umarł z goryczą w sercu.

Malarza Delacroix nazywa autor, po Szekspirze i Dantem, największym poetą, większym od Wiktora Hugo i dodaje, że gdyby Szekspir i Dante umieli malować, byliby tak malowali jak Delacroix, bo „Sardanapal“ np. jest poematem Byrona, przeniesionym na płótno. Odznaczał się on niezwykłem ukształceniem i pisał znakomite krytyki. Trudno byłoby znaleść 2-ch ludzi tak do siebie niepodobnych, jak Delacroix i Horacy Vernet. Pierwszy kochał swoją sztukę, jak zakochany poeta kapryśną panią swojego serca, z którą najmniejsza rozterka mogła doprowadzić do zerwania. Vernet przeciwnie, kochał sztukę ze spokojem męża ubóstwianego przez własną żonę. Był on starszym o dziesięć lat od Delacroix, a wyglądał znacznie młodziej od niego. Vernet dziecięciem jeszcze bawił się pendzlami i rysował ludzi i konie, nie znając wcale reguł. Począwszy od pradziada, wszyscy jego przodkowie malowali i rysowali.

Niepodobna sobie wyobrazić czaru obejścia Verneta. Jakkolwiek był on karłem w porównaniu z Dumasem ojcem, obaj wszakże posiadali te same zalety fizyczne, moralne i duchowe. Żaden z nich nie wiedział, co to zmęczenie fizyczne, obadwaj mogli pracować po 15 godzin dziennie, przez miesiąc z rzędu, obadwaj także zarabiali dużo pieniędzy, ażeby je wydawać jeszcze prędzej. Obadwaj tworzyli z łatwością. Dumas śmiejąc się do rozpuku, Vernet śpiewając pełnym głosem, albo rozmawiając z gośćmi, którzy mu nic a nic nie przeszkadzali. Zawód malarski napełniał go dumą, nie zamieniłby też swego nazwiska na żadne inne. Republikanin gorący, nie przyjął u siebie księcia de Berry, gdy ten chciał obejrzeć batalijne obrazy, które malował dla ks. Orleańskiego, późniejszego Ludwika Filipa. Wymówił zaś sobie, że obrazy jego ilustrować będą jedynie kampanie pierwszej Rzeczypospolitej i cesarstwa. Ponieważ malował same batalie, przywidziało mu się, że się zna na taktyce i strategii, więc też jego krytyki fortyfikacyj Thiersa przyjaciół pobudzały do szalonego śmiechu.

Żyło wówczas bardzo wielu jeszcze weteranów armii napoleońskiej, Vernet wydawał mnóstwo pieniędzy na fetowanie ich po kawiarniach i restauracyach, zwłaszcza gdy przygotowywał szkic do nowego obrazu. Nadewszystko zaś poszukiwał starych wojaków o cerze bronzowej, powracających właśnie z Afryki. Można więc było często widzieć w jego pracowni jenerała, pułkowników, z pół tuzina kapitanów i szeregowców, samych napoleończyków. Oficerowie chętnie ofiarowywali mu darmo swoje usługi, ale Vernet wyznaczoną raz na to sumę dzielił pomiędzy tych, którym zasiłek ten bardzo się przydawał.

Autor, zwracając się do króla Ludwika Filipa i jego rządów, sądzi, że nie ukrywając wielu jego i wielkich do tego błędów, nie należy jednak patrzeć oczami legitymistów i republikanów. Nie był on bynajmniej gorącym wielbicielem mieszczan. Nie łudził się co do ich wartości umysłowej, a gniewał się na ich sympatyę dla siebie, będą ą w gruncie rzeczy protegowaniem króla. Otaczali go kołem dlatego, ażeby mu przeszkodzić w pogodzeniu się ze swą kastą, czyli ze starą szlachtą. Zresztą usiłowanie takie nie byłoby się powiodło, zwłaszcza w pierwszych latach, gdyż szlachta gniewała się. Ostracyzm, w jakim Faubourg Saint Germain trzymał króla wraz z całą rodziną, obrażał go głęboko; czasami też wybuchał epigramatem bardzo ostrym, a przytem obosiecznym. „Burżoazya — odezwał się raz Ludwik Filip — przypomina mi w swem zachowaniu się względem mnie Adalberona, biskupa z Reims, przemawiającego do Kapeta: „Kto cię zrobił królem?“ — zapytał biskup. — „Kto cię zrobił biskupem?“ — odparł król. — Więcej jeszcze ich ja porobiłem książętami, aniżeli oni mnie królem“. Ludwik Filip był najdowcipniejszym z królów francuskich po Henryku IV.

Kilka z jego dowcipów stało się historycznemi, umiał szczególniej znajdywać „ostatnie słowa.“ Tak n. p. ostatnia jego uwaga z powodu śmierci Talleyranda. Odwiedził go w wigilię dnia śmierci, a gdy mu doniesiono, iż już umarł, zapytał: „Czyście tego pewni?“ —„Najzupełniej. Alboż W. K. Mość nie zauważyła wczoraj, że był już umierający?“ — Tak, ale Talleyranda nie trzeba nigdy sądzić według pozorów i dlatego pytam się sam siebie od 24-ch godzin, jakiby on mógł mieć interes umrzeć w tym czasie?...“

Jeszcze lepszy ten dowcip, o którym autor „Pamiętników“ nie mówi. W wigilię śmierci Talleyranda odwiedził go Ludwik Filip: „Jakże się książę czujesz?“ — „Cierpię jak potępieniec“ — jęknął chory. — „Już?“ — odrzekł król spokojnie.

Jedno zarzucano zawsze Ludwikowi Filipowi i dziś jeszcze całej rodzinie, to jest oszczędność, a może i skąpstwo. Książę następca tylko, który zabił się, wypadłszy z powozu, nie miał wcale tego zmysłu czy tej wady.

Ludwik Filip zbrzydził sobie tak dalece „Marsyliankę“, że chciał ją zastąpić innym hymnem narodowym, ale lud, nietylko że wzgardził „Paryżanką“, skomponowaną przez Kazimierza Delavigne, lecz jeszcze zmusił pewnego razu króla do przyłączenia się w intonowaniu „Marsyljanki“.

Mając tyle powodów do radości z rodzinnych względów, król miał zawsze minę smutną i zgnębioną. Pod pokrywką uśmiechniętego spokoju, ukrywał ślady głębokiej zgryzoty. Wyraził się też raz do kogoś z gorzką ironią: „Korona Francyi jest za zimna w zimie, za gorąca w lecie, berło za krótkie ażeby mogło służyć do obrony lub ataku a nawet do podpory; kapelusz miękki i parasol są daleko pożyteczniejsze w każdym wypadku“.

Synowie Ludwika Filipa byli wszyscy pięknymi młodzieńcami, zwłaszcza dwaj najstarsi, jakkolwiek pozornie książę następca wydawał się zbyt szczupłym. Wybornemu ich wychowaniu przewodniczyła zbytnia trochę surowość. Wszyscy uczęszczali do kolegium Henryka IV.

KRONIKA.

Lwów 14 stycznia.

JE. minister oświaty, dr. Madeyski, przybył do Lwowa i udzielał dziś audyencyi w gmachu Namiestnictwa.

Komisya solna Sejmu krajowego wybrała subkomitet, w którego skład weszli pp.: Merunowicz, Duklan Słonecki i St. Stadnicki. Subkomitet ten zajął się sprawozdaniem Wydziału krajowego o organizacyi sprzedaży soli warzonki w zarządzie kraju.

Odznaczenie. JE. p. Jakób Simonowicz, prezydent wyższego sądu krajowego we Lwowie, z okazyi przejścia w stan spoczynku, otrzymał wielki krzyż orderu Franciszka Józefa.

Śluby. W Warszawie odbył się ślub znanej artystki teatrów warszawskich pani Aleksandry z Kobylińskich br. Ludowej z artystą-malarzem p. Franciszkiem Żmurką. P. Żmurko jest Lwowianinem, synem sławnego matematyka, pani Żmurkowa zaś jest córką pp. Kobylińskich, byłych właścicieli Kulikowa.

22 stycznia odbędzie się w kościele Jezuitów we Lwowie ślub panny Zenobii hr. Łosiówny, córki śp. Emila hr. Łosia i Emilii z Szymanowskich, z p. Marcelim Bogdanowiczem, synem ś. p. Marcelego i Malwiny z Podlewskich.

Ostrzeżenie. Od paru dni włóczy się po Lwowie jakiś człowiek i wyłudza pieniądze, które wedle jego zapewnień mają stanowić zapomogę dla ubogiego studenta. Ostrzegamy publiczność przed tym człowiekiem, gdyż papiery rekomendacyjne, które przedkłada na poparcie swych próśb, a które zaopatrzone są podpisami bardzo wybitnych osób w mieście, wyglądają na podrobione.

Konkursa. Zwierzchność gminna w Tyśmienicy rozpisała z terminem do 15 lutego konkurs na posadę lekarza miejskiego z roczną płacą 350 zł. — Rada szkolna okręgowa w Rohatynie ogłasza konkurs na kilka posad nauczycielskich z terminem do dnia 15 lutego. — Z fundacyi im. Henryka Strzeleckiego zawakowało jedno stypendyum o rocznych 100 zł., przeznaczone dla uczniów krajowej szkoły gosp. leśnego we Lwowie. Bliższe warunki ogłoszone są w dyrekcyi tej szkoły.

Urząd depozytowy krajowego sądu dla spraw cywilnych w Wiedniu sporządził wykaz złożonych i przechowanych w sądach austryackich depozytów cywilno-sądowych. Cyfra ich sięga kilkuset milionów; są to albo pieniądze w gotówce, albo papiery wartościowe; wielu właścicieli tych milionów sądy nie znają i poszukują ich edyktami. Owóż według powyższego wykazu depozytów z Austryi niższej jest przechowywanych na 296,071.113 złr., z tego 121,793.427 zł. w publicznych obligacyach, 1,335.126 zł. w papierowych banknotach, 24.153 w złocie. 213.937 w rozmaitych kosztownościach. Czeskie depozyty wynoszą 94 milionów, styryjskie 62, Austryi górnej 42 milionów, innych krajów koronnych od 3 do 25 milionów.

Zamach samobójczy w szkole. W Wiedniu zdarzył się w tych dniach znowu jeden z tych niepokojących wypadków, w którym młody chłopiec targnął się na własne życie. Uczeń szkoły uzupełniającej niejaki Jakób Pumler podczas nauki usiłował sobie poprzecinać żyły na szyi. Pokaleczonego ciężko, lecz nie śmiertelnie, odwieziono do szpitala. W liście do rodziców chłopak jako powód do samobójstwa podał to, iż go fałszywie posądzono o przywłaszczenie pieniędzy, przeznaczonych dla nauczyciela. Piękną bywa taka ambicya, a przecież — zakończywszy słowami Kowerskiej — dawniej sobie dzieci życia nie odbierały!

Dwa dramaty rodzinne odegrały się w północnej dzielnicy Berlina, zamieszkanej przeważnie przez ludność robotniczą. Niejaka Hoffmanowa, która bardzo źle żyła z mężem, w nieobecności jego podała dwojgu swoim dzieciom truciznę, a gdy zbrodniczy ten krok pozostał bez skutku, udusiła dzieci, poczem sama się powiesiła. Utrzymywała ona sklepik spożywczy, który jednak dawał bardzo skąpe utrzymanie rodzinie, a w ostatnich czasach zawodził kompletnie.

Drugie sensacyjne morderstwo, połączone z samobójstwem, zdarzyło się w dzień później. Buchalter Gustaw Kreitig, 42letni mężczyzna, od 20 lat pracujący w banku Bleichrödera, otrzymał nagle dymisyę oskarżony o spekulowanie na własne ryzyko wbrew przepisom obowiązującym u Bleichrödera. Nie mogąc przeboleć utraty stanowiska, zastrzelił z rewolweru najpierw swoją 34 lat liczącą żonę, z którą żył szczęśliwie, a drugim strzałem w skroń sam siebie życia pozbawił.

Obłąkany zbrodniarz. Do naczelnika policyi śledczej w Paryżu przybył w tych dniach 23-letni student wydziału literacko-filozoficznego w Sorbonie, nazwiskiem Ludwik Schickley i wyznał mu następującą straszną zbrodnię:

Jest on synem aptekarza z Tricourt w Lotaryngii i przed paru laty oddawał się z zamiłowaniem studyom chemicznym; chciał bowiem koniecznie wsławić swoje nazwisko jakiemś wiekopomnem odkryciem. Między innemi, badając tlenek węgla, chciał naocznie przekonać się o jego trującem działaniu na istoty żyjące; spróbował na psie, to mu jednak nie wystarczało: zapragnął poddać doświadczeniu istotę ludzką. Miał 18-letnią siostrę, której pokój przylegał do jego laboratoryum. Wtedy przyszła mu szatańska myśl użyć jej do doświadczenia, a gdy raz przyszła, już jej niczem nie mógł wypędzić z chorej głowy, w której coraz głębiej się zakorzeniała.

Nie chcąc wzbudzać podejrzeń ojca, sprowadził sobie nie z jego apteki lecz z Paryża, pod fałszywą etykietą, potrzebne materyały, zbudował aparat, produkujący tlenek węgla i przeprowadził rurkę kauczukową przez otwór w ścianie do pokoju siostry; poczem jednej nocy puścił aparat w ruch i śledził postępy swojego dzieła. Widział, jak opowiada, agonię ofiary; widział, jak próbowała zwlec się z łóżka, aby otworzyć okno, jak nie miała już siły i opadła na poduszki; dopiero widząc ją martwą, wszedł, otworzył okienko, przewietrzył pokój, aby usunąć odór, zatarł wszelkie ślady zbrodni i położył się spać. Rano znaleziono dziewczynę martwą i przypisano śmierć nagłemu atakowi choroby nerwowej, na którą cierpiała. Co za straszny objaw obłąkania!

Środek na katar. Według prof. dra Kerrisa, wybornym środkiem na katar ma być czysta wódka z żyta. Po kilkakrotnem przepłukaniu nią nosa katar ma znikać. Dr. Tillej znów zaleca pastylki złożone z 0.76 węglanu sody, 0.1 soli kuchennej

i 0·1 fanolu. Wodę, w której rozpuszczono jedną pastylkę, używać można do płukania nosa.

Straż graniczną z psów organizują w Rosyi. Szeroko rozwinięte przemytnictwo na trzech granicach rosyjskich skłoniło rząd tamtejszy do wprowadzenia tej nowości. Wytresowano specyalnie w tym celu sporą ilość psów, które rozdzielone między posterunki strażnicze, spełniają swą czynność podobno wybornie. We dnie psy te śpią, a ze zmrokiem idą na stanowiska. Każdego obcego człowieka zwęszą one z daleka i warczeniem lub szczekaniem dają o tem znać strażnikom. Potem na komendę rzucają się w pogoń za niebezpiecznymi przemytnikami i osadzają ich w miejscu. Pierwsze próby zachęciły pono rząd rosyjski do jak największego zastosowania psów do służby granicznej.

Z izby sądowej. (Sprawa Kamińskiego). Następnego świadka Władysława Winnickiego nie zaprzysiężono z powodu, że się temu sprzeciwił obrońca dr. Czemeryński, gdyż dotychczasowe postępowanie świadka wskazywało jego nieprzyjaźń względem oskarżonego. Winnicki opowiada, że wydobywał piasek z góry lwiej, a Kamiński zamknąwszy ją bez powodu, pozbawił go zarobku. Wystąpił wówczas świadek przeciw oskarżonemu w gazetach, nie groził mu, lecz powiedział, że nie daruje. Radząc się Matiaszewskiego jak ma postąpić, usłyszał od tegoż, iż trzeba było dać Kamińskiemu prezent, a wszystko byłoby dobrze. Świadek Zygmunt Wideń, komisarz IV dzielnicy, tłómaczył proceder zamknięcia i odwołania zamknięcia góry. Gdy groziło jakie niebezpieczeństwo, Kamiński dawał znać do komisaryatu. Świadek udawał się w takich razach z Kamińskim do właściciela i odbierał przyrzeczenie, iż kopać nie będzie, dopóki niebezpieczeństwo nie zostanie usuniętem. Jednakowoż tak zamknięcie jak i otwarcie zależało tylko od Kamińskiego.

Świadek Ludwik Hołodyński, komisarz I dzielnicy, potwierdza zeznania poprzedniego świadka. Do Magistratu należało tylko czuwanie nad tem, by podczas zamknięcia nie pracowano. Wszystkie ważniejsze wypadki zamknięcia są w aktach notowane, drobnych nie zapisywano. Ażeby sprawdzić, że zarządzenia Kamińskiego były słuszne, chodził świadek sam osobiście, chociaż nie był do tego obowiązany.

Radca magistratu, Stanisław Cetwiński zeznał, iż słyszał tylko skargi, że Kamiński źle obchodził się z Didojem. Z dalszych zeznań tego świadka ważniejszem jest tylko to, iż raz słyszał jak Johann mówił do oskarżonego: „widocznie chce pan kubana“.

Następny świadek, dyrektor budowniczego urzędu, Hochberger, twierdził, iż oskarżony mógł rozporządzać w rzeczach mniejszej wagi jak inspekcya kamieniołomów, jednak roboty mógł sam wstrzymywać nie odwołując się do dyrektora budowniczego urzędu. O kubanach świadek nic nie wie, tylko Didoi kilka razy skarżył się przed nim na Kamińskiego.

Obrońca dr. C z e m e r y ń s k i: Czy pan jako dyrektor budowniczego urzędu wie o tem, jakoby zwlekano z odbiorem materyału, dostawionego przez Didoja i wypłatą mu należytości?

Dyr. H o c h b e r g e r: Nie! słyszałem tylko coś o tem. (Śmiech w audytoryum).

Dr. C z e m e r y ń s k i: A czyś pan kiedy robił wymówkę Kamińskiemu, że pieniądze dla robotników obraca na budowę swego domu.

Dyr. H o c h b e r g e r: Tak nie wymówiłem, tylko wyraziłem domysł, że łata jakieś dziury.

Także p. Wincenty Gorecki, radzca budownictwa, zeznał, iż słyszał od Didoja, iż go Kamiński sekował i krzywdził.

Przesłuchany następnie radny Marschal zeznał, iż chociaż kamień odbierała komisya z Rady, to jednak jej decyzya potrzebowała aprobaty Kamińskiego. Po przesłuchaniu kilku jeszcze świadków zakończono postępowanie dowodowe.

Obrońca dr. Czemeryński postawił dziś wniosek odczytania kontraktu magistratu z Didojem, aktu licytacyi z roku 1891, uchwały magistratu co do zasuspendowania Kamińskiego itd. Trybunał zgodził się na wszystkie wnioski, z wyjątkiem jednego. Po przerwie krótkiej zabrał głos prokurator p. Olański. Wykazawszy wiarygodność zeznań przesłuchiwanych przedsiębiorców, oskarża obwinionego o decydowanie w ważniejszych sprawach publicznych, bo w sprawie majątków gminnych, pod wpływem otrzymywania podarunków. Mowa prokuratora trwała niemal dwie godziny.

Rozprawa trwa dalej, wyrok zapadnie dziś wieczorem.

Dwadzieścia lat nago. W służbie Stanów Zjednoczonych pozostaje kapitan marynarki Edward Schmidt, któremu rząd powierzył opiekę nad zatoką Oacklandzką. Kapitan ten od lat 20 chodzi prawie nago, bo ubranie jego zawsze bez względu na porę roku i pogodę, składa się tylko z pasa i krótkich trykotowych spodni. Zapytany, dlaczego nie ubiera się tak, jak inni ludzie żyjący w Oacklandzie odpowiada: „Ubieram się tak ze względu na me zdrowie. Studyowałem przez pewien czas medycynę; koledzy mi wówczas ciągle mówili, że mam nadzwyczaj słabe płuca, a gdy udałem się w podróż morską, myśleli, że z niej nie wrócę. Bawiąc w pobliżu równika, nie nosiłem rozumie się wcale ubrań na sobie i przekonałem się, że im lżej byłem ubrany, tem czułem się zdrowszy, jeśli tylko włożyłem więcej ubrań na siebie, natychmiast mi się pogarszało. W rok potem przejeżdżałem okrętem przez cieśninę Magelhaena. Tam zobaczyłem, iż mieszkańcy kraju ognistego chodzą zupełnie nadzy po śniegu. Widziałem podeszłych mężczyzn, silnych i zdrowych, i matki, karmiące dzieci, zdrowe i silne zbudowane; wszystko to chodziło nago po śniegu. Wtedy powiedziałem sobie, że odkryłem tajemnicę zdrowia. Od tej pory ubieram się tak, jak mieszkańcy kraju ognistego i jestem zdrowy i silny.“ Kapitan Schmidt jest mężczyzną wysokiego wzrostu, mierzy 6 stóp, nadzwyczaj silny i waży 200 funtów. Ma żonę i czworo dzieci. „Żonę moją — opowiada — zaślubiłem w Melbourne. Naturalnie, że nie chodzi tak ubrana jak ja, lecz o ile tylko można, nie wykraczając przeciw przepisom towarzyskim, unika wkładania na siebie niepotrzebnych sukień. Dzieciom naszym pozwalamy chodzić nago; od lat 20, to jest od czasu, gdy chodzę nago i tę metodę stosuję do mojej rodziny, nie wydałem ani centa na leki“. Donosi o tem nowojorski *Recorder*.

Główna trafika lwowska. We środę o dziewiątej rano odbędzie się w tutejszej powiatowej dyrekcyi skarbu licytacya na główną trafikę lwowską przy ul. Halickiej. Ponieważ jestto przedsiębiorstwo ogromnie intratne, gdyż zapewnia czystego dochodu około 6000 zł. rocznie, przeto otrzymujemy codziennie bezimienne listy, których autorowie za naszem pośrednictwem zwracają się do Dyrekcyi skarbowej, ażeby tak znakomicie rentujące się źródło zarobkowe oddała w godne ręce. My oczywiście nie możemy się mieszać w sprawę tej trafiki, gdyż podlega ona wyłącznie zarządzeniom Dyrekcyi skarbowej, a jesteśmy najzupełniej przekonani, że Dyrekcya wspomniana załatwi tę sprawę w myśl interesów ogółu.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 1° R. w poł. + 1° R. Bar. 160. Spada. Pogoda.

Niewczesna usłużność. Pewien młody człowiek uskarża się przyjacielowi na ojca, który stale odmawia mu pieniędzy.

Postaraj się wpłynąć na niego — życzliwie radzi przyjaciel.

— Niestety! Tylko idyoci mają na niego wpływ.

— Jeżeli chcesz, to ja z nim pomówię — uprzejmie mówi przyjaciel, ofiarując swe usługi.

Przepisy gospodarskie.

I. T y t u ń n a k o m a r y. Zapalić napchaną ostrym gatunkiem dreikenigu fajkę, usiąść spokojnie w fotelu i mocno przymrużywszy oczy, wypuszczać z ust dym koniecznie kółkami, tak, aby każde kółeczko trafiało komara. Kółek takich trzeba puścić na każdego komara 13, poczem najzłośliwszy nawet owad znika. Operacyi powyżej wskazanej należy dokonywać na każdym komarze oddzielnie.

II. N i e z a w o d n y ś r o d e k n a m o l e. Rozgotować w kuble asfaltu, wylać zawartość kubła na futro i starannie wysuszyć. Powtarzać to 5—6 razy, dopóki futro nie stwardnieje tak, że go żaden mol nie ugryzie. W razie braku pod ręką asfaltu nie należy używać natomiast wapna niegaszonego.

Teatr. Dziś w poniedziałek przedstawienie składane na dochód „Towarzystwa Szkoły ludowej“, z uprzejmym współudziałem p. Józefa Kotarbińskiego, artysty sceny krakowskiej, panny Wandy Radkiewiczównej, Tow. śpiewackiego „Echo“, oraz artystów sceny lwowskiej i orkiestry teatralnej. We wtorek „Halka“. We środę „Wybory do rady miejskiej“.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Mamy szczęście w bieżącym sezonie teatralnym do fars wiedeńskich. Widocznie w tym specyalnie kierunku wytężona jest uwaga ku pięknemu modremu Dunajowi, nad którym przecież gra się coś lepszego i — powiedzmy prawdę — coś mądrzejszego. Na karb lwowskiej publiczności zwala się rozmaite rzeczy, więc także i tę, że nie chce chodzić do teatru na dzieła poważne, a z tą chimerą nieestetyczną musi się liczyć kasa teatralna. Pomijając już tę okoliczność, że teatr w naszych stosunkach narodowych i społecznych nie powinien schlebiać ordynarnym instynktom pospólstwa; gdy posiłkować się musimy zagranicznym repertoarem, wybierać należy z niego to, co rozwesela i bawi, ale co posiada również jakąś wartość literacką lub przynajmniej artystyczną, a pod żadnym pozorem nie można się kierować samymi tylko względami kasowymi, choćby nawet w tych trudnych warunkach, w jakich się obraca od pewnego czasu teatr lwowski.

Takie uwagi nasunęły się nam po sobotniej premierze, a była nią brukowa farsa wiedeńska p. t. „Wybory do rady miejskiej“, z pochodzenia, z zakroju i z płytkich konceptów, rodzona siostra „Małżeństwa na próbę“ o którem niedawno na tem miejscu pisaliśmy.

Tytuł powyższej premiery sam za siebie mówi, jaką jest rybą i w jak mętnej wodzie takie ryby pływają; ale jeśli „Wybory“ w samym Wiedniu przez swą aktualność mogły rozśmieszać i bawić, to u nas zlokalizowaniem tej farsy i przykrojeniem jej do lwowskich stosunków zrobiło się z „Wyborów“ monstrum sceniczne, rodzaj jakiegoś widowiska, na które doprawdy brak nazwiska, jakby powiedział już dawno zmarły autor „Momusa“.

Do konceptu i sytuacyi z wiedeńskiego bruku, domięszano dowcipy ze *Śmigusa*, upstrzono tu i ówdzie żargonem lwowskiego „kołtuna“ i zrobiła się jakaś niedogotowana kasza, jałowa, bez soli nawet... Dwa romanse przyczepione do awantur wyborczych, żeby choć grały role kwiatka u kożucha — ale gdzie tam! wyglądały, jak zbrukane i podarte wstążki upięte do zabłoconej, poplamionej i podziurawionej kapoty.

Przy takim stanie rzeczy, za zasługę poczytujemy artystom, że miarkowali grę swoją i nie puszczali się na rozpasane flukta grubych efektów scenicznych. W pierwszym rzędzie tę właściwość gry podnieść musimy u p. Feldmana, który rolę szewca Łatackiego, o ile się dało, uszlachetnił. To samo powiedzieć należy o grze p. Czaplińskiej, która tchnieniem szczerego artyzmu, uratowała rolę szewcówny. Pan Ruszkowski w roli wyborczego agitatora wyszedł obronną ręką, co zawdzięcza talentowi aktorskiemu i smakowi inteligentnego artysty. Inne postacie, istne karykatury i liche kopie z wiedeńskich pism humorystycznych, mimo wysilania się tłómacza, aby im nadać lokalną typowość, wzbudzały niesmak, jeśli nie coś gorszego, a jakiejś świeżości w pomyśle, jakiegoś prawdziwego humoru i rzetelnego dowcipu, co rozbroi najsurowszą krytykę — w całej farsie, ani śladu — za to krzyku, hałasu, skakania, koziołków na scenie i za sceną — w bród.

Iks Ypsylon.

* **„Nasze panny“.** Napisała Aniela Milewska. (Poznań. 1894. str. 76). Przedewszystkiem należy być wdzięcznym autorce tej małej powieści, że nie wyprowadza na scenę żadnych bohaterów demonicznej piękności, ani bohaterek, trawionych ogniem zakazanej miłości; podnieść również trzeba, iż autorka nie uprawia tu żadnej histerycznej psychologii, ale opowiada prosto, spokojnie i prawdziwie o tem, co jej w życiu zdaje się być dobrem. Jest więc w powieści jej tendencya, jest prawda życiowa i jest logika; żałować tylko wypada, że talent obrazowania jest mały, a styl niezupełnie wyrobiony. Powieść ta z punktu widzenia artystycznego mniej jest warta, ze stanowiska zaś etycznego przedstawia się dodatnio. W „Naszych pannach“ czytamy o niejakiej pannie Jadwidze Ustrzyckiej, która ukończyła pensyę w Warszawie, przyjechała do domu rodzicielskiego na wieś i tam strasznie się nudziła, bo nic nie chciała robić, nawet nie życzyła sobie wychodzić za mąż, odmawiając swej ręki wielce przyzwoitemu obywatelowi. Po kilku latach wróciła do Warszawy i znowu nie wiedziała, co ma robić w mieście; wróciła więc na wieś i wyszła wreszcie za owego obywatela, któremu była odmówiła. Morał stąd taki, że najlepiej dla panny — wyjść za mąż. Zgadza się z tem nawet pewna emancypowana panna z Paryża, niegdyś koleżanka bohaterki. *Quod erat demostrandum*

Rozmaitości.

— **Amerykańska kasa bezpieczeństwa.** No, widzi pan — mówił do mnie naczelnik stacyi w Jerycho w Stanach Zjednoczonych — onegdaj znowu rabusie napadli na pociąg, rozbili kasę w wagonie pakunkowym i zabrali nam trzykroć sto tysięcy dukatów. Well! Będzie to się zawsze zdarzać dopóki dotychczasowe kasy nie wyjdą z użycia. Każdy rozbójnik, choć trochę mający fachowego wykształcenia, kasę taką otwiera w ciągu pół godziny i to bez dynamitu lub innych jakich środków gwałtownych. A przecież zapewniam pana, że można sporządzić kasę, która się wtedy tylko otwiera, kiedy się zna pewną kombinacyę, wedle której należy ustawić litery w zamku. Widziałem na własne oczy taką kasę, mieliśmy ją na naszej linii. Pochowano ją potem w pobliżu o piętnaście mil stąd.

— Pochowano kasę? Cóż to znaczy? — zapytałem.

— Bez umarłego nie ma pogrzebu — odparł naczelnik stacyi. — Mam właśnie tyle czasu, aby panu opowiedzieć tę historyę zanim się pojawi pociąg pospieszny z Athensvill. Siadaj więc pan wygodnie i słuchaj.

Mniej więcej dziesięć lat temu mieliśmy na naszej linii magazyniera niejakiego Hopkinsa. Ja i on jeździliśmy tym samym pociągiem, kuryerem, który codziennie odbywał swą drogę. Raz w tygodniu wieźliśmy złoty piasek z Custerville do San Francisco do banku. Ten Hopkins — Yim było mu na imię — był tylko magazynierem, ale zarazem powierzono mu nadzór nad kasą. Regularnie co miesiąca rozbójnicy raz napadali na pociąg i albo musiał sam Yim otwierać kasę pod grozą lufy pistoletowej, przyłożonej mu do skroni, albo jeśli rozbójnicy mieli dość czasu i chcieli się popisać swą biegłością, otwierali ją sami.

To zaczęło wreszcie nudzić Yima, a ponieważ to była pomysłowa głowa, która niejedną rzecz już wynalazła, postanowił zatem zbudować kasę zupełnie bezpieczną od włamania się. Well. Yim pracował nad swoim wynalazkiem w teoryi przez całą zimę, a kiedy już zupełnie był z niego zadowolonym, podjął z banku część swoich oszczędności i użył ich, aby zbudować nową patentowaną kasę bezpieczeństwa, którą następnie ustawił w wagonie pakunkowym.

Nowa kasa była niemal dwa razy tak wielka jak zwykłe kasy kolejowe. Na zewnątrz zupełnie była do nich podobna.

— A przecież zdaje mi się — mówił nasz konduktor Sampson do Yima — że kiedy poczujesz koło skroni lufę pistoletu, ta kasa otworzy się równie prędko jak każda inna.

— Całkiem słusznie — odparł Yim — ale na to potrzeba, abym poczuł lufę pistoletu na skroni, lecz mnie się zdaje, że już będzie koniec tej robocie. Najbliższym razem, kiedy pociąg w polu stanie, nie znajdą mnie chyba rozbójnicy; a czy uda się im otworzyć moją kasę, to jest właśnie rzecz, w którą sobie wątpić pozwalam.

— Gdzież więc się ty podziejesz? — zapytał Sampson.

— Well — odparł Yim — mam zamiar, skoro tylko poczuję, że pociąg staje, wleźć do kasy i siedzieć w niej tak długo, aż się rozbójnikom znudzi nie mogąc jej otworzyć.

— To świetna idea — odpowiedział konduktor — ale jakżeż otworzysz kasę, chcąc z niej wyjść?

— O! tę część interesu pozostawiam tobie. Powiem ci moją kombinacyę, a kiedy rozbójnicy znudzeni pójdą sobie do domu, będziesz mnie mógł wypuścić.

— All right — rzekł Sampson — uczynię to jak najprędzej, pod warunkiem naturalnie, że przypomnę sobie kombinacyę, bo wiesz, że pamięć moja nie należy do pierwszej klasy, mógłbym ją zapomnieć i nie otworzyłoby się kasy.

Yim odparł, że kombinacyę łatwo zapamiętać i powierzył ją konduktorowi i zaraz następnego dnia rozbójnicy niedaleko Athensville zatrzymali pociąg. Napastnicy weszli do wagonu pakunkowego, a nie znalazłszy tam Yima, wyszukali konduktora i kazali mu kasę otworzyć. Konduktor przysięgał, że nikt nie wie jak tego dokonać prócz Yima i że nie wie, gdzie się on podział. Rozbójnicy poczęli go szukać, aż wreszcie postanowili sami otworzyć kasę. Naturalnie to się im nie udało, bo zamek to było arcydzieło, którego żaden człowiek otworzyćby nie był w stanie. Spróbowali potem swoich świdrów centralnych, które jednakże nie większe zrobiły na kasie ślady jak dotknięcie palcem na bryle granitowej. To wreszcie zniecierpliwiło rozbójników, wywlekli kasę na pole i spróbowali dynamitu. Podłożyli widocznie porządną jego porcyę, bo gdy nastąpił wybuch, kasa więcej niż na trzydzieści stóp wyleciała w górę, a spadając, wybiła ogromną dziurę w ziemi.

Rozbójnicy poskoczyli ku niej i poczęli ją oglądać ze wszystkich stron, ale nie było na niej znać ani zadraśnięcia, była tylko nieco zakopcona, zresztą jak nowa.

— To proste grubiaństwo, proszę państwa — powiedział naczelnik rozbójników. Jeżeli kto zasłużył kiedy na to, aby go powieszono, to ten, co sporządził tę kasę. Grat ten gotów istotnie położyć raz na zawsze koniec rabowaniu pociągów kolejowych i setki ludzi pozbawić chleba. Nienawidzę człowieka, który tak pozbawionym jest współczucia dla swoich współbliźnich.

Well, reszta rozbójników otoczyła kasę, klnąc tak długo, że ze znużenia aż chwiali się na nogach, ale zrezygnowali w końcu z otworzenia kasy i powiedzieli konduktorowi, aby ją sobie zabrał i pojechał z nią do dyabła. Zabraliśmy więc kasę napowrót do wagonu, a kiedy pociąg odjechał już na jakie dwie mile, konduktor otworzył ją, a z wnętrza wyskoczył Yim wesoło jak sroka i aż boki sobie zrywał ze śmiechu nad oszukanymi rozbójnikami.

Ponieważ wynalazek Yima funkcyonował znakomicie, zarząd kolejowy wyznaczył mu remuneracyę w kwocie 50 dolarów jako oznakę swego uznania za to, że przeszkodził rozbójnikom przywłaszczyć sobie piasku złotego w wartości 20.000 dolarów.

Yim nieraz wypróbował swej kasy. Przy sześćdziesięciu dwu napadach rozbójników, trzydziestu zderzeniach się pociągów i w dwudziestu innych katastrofach. Raz zagrzebany pod gruzami przeleżał w swojej kasie dwa dni zanim ją wydobyto. To mu zupełnie nie zaszkodziło, owszem użył tego czasu, aby się porządnie wyspać i powiadał, że byłoby mu tam zupełnie dobrze, gdyby nie to, że z powodu przestrzeni powietrza we wnętrzu kasy nie mógł sobie fajki zapalić. Zresztą oddechanie przez dziurkę od klucza robiło mu nawet bardzo dobrze, tak, jakby wyjeżdżał na świeże powietrze.

Yim był przezornym człowiekiem i nie zaniedbywał zmieniać tajemniczej kombinacyi co miesiąc. W pierwszych dniach sierpnia — pamiętam miesiąc doskonale, bo w sierpniu przypomina mi się zawsze moja chora wątroba — omałośmy nie wpadli na ogromne wozisko, które właśnie przejeżdżało wpoprzek toru. Yim usłyszawszy sygnał niebezpieczeństwa, wskoczył szybko do swojej kasy i zatrzasnął za sobą drzwi. Obeszło się jednak bez katastrofy, ale kiedy konduktor chciał otworzyć kasę, okazało się, że się kombinacya nie nadaje. Zapomnieliśmy, że to było właśnie po pierwszym i że Yim ją zmienił. Konduktor więc przyłożył usta do dziurki od klucza i zapytał Yima, jaka jest kombinacya. Ale Yim odpowiedział, że właśnie tego dnia rano ją zmienił i na śmierć zapomniał co to było za słowo, tyle tylko pamiętał, że to było słowo o pięciu literach i miało coś wspólnego z polityką, czy też z rozbójnictwem. Well — zaczęliśmy najpierw szukać w rozbójnictwie, a kiedy to okazało się na nic, w polityce. Konduktor posłał do domu po swój wielki słownik i postanowił wybrać zeń wszystkie pięcioliterowe słowa, ale wnet przekonaliśmy się, że na to potrzebaby roku, t. j. czasu, po którym Yim prawdopodobnie nie zechce już z kasy wychodzić.

Wezwaliśmy więc najsławniejszego włamywacza kasowego z całej okolicy, a ten mając wysokie wyobrażenie o swem rzemiośle, z dumą i zamiłowaniem zabrał się do dzieła, lecz nadaremnie. Wzięliśmy więc ze sobą do pociągu dwóch ludzi z ogromnymi młotami i kazaliśmy im godzinami bez przerwy kuć w kasę, a kiedy się zmęczyli, inni stawali w ich miejsce. Robiło to taki hałas, że pociąg nasz na milę wokoło słyszano po drodze. Nadto nie przestawaliśmy przemyśliwać nad odkryciem kombinacyi przez dni czternaście, ale już po tygodniu Yim wcale nam na zapytania nie odpowiadał. Wreszcie przyszliśmy do przekonania, że wypada Yimowi powiedzieć do widzenia, a ponieważ w kasie wtedy właśnie nic nie było prócz Yima, zawieźliśmy ją do Athensville i pogrzebali ją na cmentarzu.

Upłynął może rok od tego czasu, kiedy w wagonie restauracyjnym pociągu kurjerskiego wdał się pewien pasażer w rozmowę z konduktorem i wspomniał kiedy to ostatni raz widział Yima. Było to w przeddzień katastrofy. Obaj prowadzili polityczną dysputę, a Yim jako demokrata i mówiąc o republikańskim prezydencie Hayesie, wyraził się, że ten po prostu ukradł prezydenturę Tildenowi i że ten postępek tyle jest wart moralnie co zrabowanie pociągu.

Usłyszawszy to konduktor, zaklął siarczyście i rzekł:

— Otóż mam kombinacyę!

— Jakto? zapytał pasażer.

— Well — odparł konduktor — Yim mówił, że słowo tajemnicze ma pięć liter i coś wspólnego z polityką i rozbójnictwem. To jest właśnie „Hayes“. Dziwię się doprawdy, żeśmy odrazu na to nie wpadli. Musimy natychmiast ją wypróbować.

— Po co, skoro Yim już od dawna nie żyje? — zapytał pasażer.

— Widzi pan — odparł konduktor — to jest jedyna kasa bezpieczna od włamania się, a spadkobiercy Yima mogliby za nią wziąć od zarządu kolejowego co najmniej dwa tysiące dolarów.

Well. Tak się też stało. Spadkobiercy wykopali kasę, otworzyli ją, sprzedali Towarzystwu za 1800 dolarów, a szczątki Yima pochowali w trumnie.

— A cóż się stało z kasą? — zapytałem.

— To samo co ze wszystkiem, kiedy się długo znajduje na kolei. Pociąg spadł z trzymilowego mostu koło Yosephusville do rzeki, a że w niej był żywy piasek, wagony, lokomotywa, kasa i trzystu pasażerów zniknęło w nim bez śladu. Musiał pan słyszeć o tym wypadku? Towarzystwo nie zapłaciło nikomu ani centa odszkodowania, gdyż trupy potonęły w piasku także i nie można było udowodnić, że ktokolwiek zginął przy wypadku. Mówię, że nie kosztowało nic, bo nie liczę tego, że każdemu z sądu, rozstrzygającego tę sprawę trzeba było dać po 5.000 dukatów. Najbardziej jednak popsuła naszym dyrektorom humory strata kasy. Wstąp pan kiedy do mnie do biura a pokażę panu jedyną pamiątkę po Yimie, fotografię, przedstawiającą go, jak stoi koło kasy z miną prezydenta, kiedy ma otworzyć posiedzenie kongresu. Był to dzielny chłop, tylko zbyt ufał swojej kasie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 12 stycznia.

(Z.) Tryumf naszej giełdy nad kontrminą berlińską odbiera po prostu zmysły tutejszym spekulantom. Przez tyle lat bowiem finansiści niemieccy traktowali naszą giełdę i naszych spekulantów w sposób prawdziwie pogardliwy, a dziś ci potężni mentorowie naszej giełdy są w rozpaczy, muszą bowiem kapitulować, płacąc ogromny haracz. W ostatnich czasach niemal co tydzień zdarzały się to w tem, to w owem mieście wypadki samobójstwa znanych finansistów. Są to wszyscy zrujnowani matadorzy kontrminy berlińskiej, którzy nie mogli już dłużej prowadzić operacyi zniżkowych w papierach austryackich. W Berlinie zastrzelił się przed kilku dniami dyrektor tamtejszego giełdowego związku handlowego Seckel, który od roku operował na zniżkę naszych kredytów i przegrał nietylko cały swój majątek, ale także fundusze instytucyi, której był dyrektorem, tak, że skutkiem tego akcyonaryusze w tym roku żadnej dywidendy nie dostaną. Samobójstwo Sekla stało się na giełdzie berlińskiej powodem głośnego tam dziś dowcipu: oto dzisiejszy kurs kredytów nazywają tam obecnie złośliwie kursem: „fin de Seckel“. Nie tylko w Berlinie jednak haussa naszych papierów wyrządziła ogromne spustoszenia, ale także w innych miastach niemieckich. Pewna firma hamburska np. która również od kilku miesięcy operowała na zniżkę kredytów, musiała je dziś skupywać i na każdej sztuce ponosi stratę przeszło 100 zł. Wściekłość niemieckich sfer finansowych przeciw naszej giełdzie jest tak szalona, że atakują one nawet swoje własne papiery, o których wiedzą, że wiedeńscy finansiści grają w nich na zwyżkę.

Z tego powodu, pomimo zawarcia kartelu kopalni węgla, zbijano dziś w Berlinie kurs wszystkich niemieckich walorów tych kopalń, dlatego tylko, że nasi spekulanci operują na ich zwyżkę. Nasza giełda natomiast oddaje się w całej pełni rozkosznemu uczuciu tryumfatora. Nic jej zresztą innego nie obchodzi, tylko aby kursa dalej i dalej szły w górę. Jestto stan graniczący potrochę z niepoczytalnością.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 416·50, węgierskie 506·—, Anglobanki 187·—, Uniony 319·75, Bankvereiny 159·—, Länderbanki 287·20, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 299·—, Elbathale 274·—, Renta papierowa 100·80, srebrna 100·85, austryacka złota 125·45, 4% austr. renta wal. kor. 100·50, węgierska złota 124·25, 4% węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·81, 20-frankówka 9·85½, marki 12·14, ruble 1·33½.

Telegramy „Przeglądu“.

Peszt 14 stycznia. Węgierskie biuro korespondencyjne donosi, że w sferach kompetentnych opowiadają, iż wiceprezes Izby poselskiej Perczel obejmie tekę spraw wewnętrznych, tekę oświaty obejmie profesor uniwersytetu i poseł Wlassicz, br. Fejervary zatrzyma tekę obrony krajowej, a zarazem będzie ministrem przy boku cesarskim. Na ministra handlu nie znaleziono dotychczas odpowiedniego kandydata.

Ateny 14 stycznia. W Patras dało się uczuć gwałtowne trzęsienie ziemi, wszelako nie zrządziło żadnej szkody.

Friedrichsruhe 14 stycznia. Kanclerz ks. Hohenlohe przybył tu wczoraj z synem i wprost z dworca udali się do ks. Bismarka.

Rzym 14 stycznia. Crispi przybył tu wczoraj z Neapolu. Przy wyjeździe z Neapolu urządziła mu ludność wspaniałą owacyę.

Brescia 14 stycznia. Wczoraj odbył się tu bankiet na cześć Zanardelliego. Zanardelli miał mowę, w której zwalczał dzisiejszy gabinet, protestował przeciw gnębieniu socyalistów i wzywał wszystkie stronnictwa, ażeby stanęły w obronie ustaw i wolnościowych instytucyi. Mowę swą zakończył toastem na cześć króla.

Konstantynopol 14 stycznia. Stan zdrowia byłego chedywa egipskiego Izmaiła pogarsza się z każdym dniem. Lekarze skonstatowali u niego raka w żołądku. Katastrofa może niebawem nastąpić.

Petersburg 14 stycznia. Car nadał ministrowi wojny jenerałowi Wannowskiemu order św. Andrzeja i wystosował doń reskrypt, w którym podnosi jego nadzwyczajne zasługi. „Dobrze uzbrojona i wydoskonalona armia — pisze car w swym reskrypcie — którą pan w znacznej części na ten stopień doskonałości przyprowadziłeś, jest najlepszą rękojmią utrzymania pokoju, który memu zmarłemu ojcu tak samo był drogi, jak jest mnie“.

Prezesowi komitetu ministrów Bungemu nadał car order Włodzimierza pierwszej klasy za znakomite usługi, oddane przezeń na stanowisku ministra finansów, a ministrowi sprawiedliwości Murawjewowi nadał car order Włodzimierza drugiej klasy.

Arco 14 stycznia. Podane przez niektóre pisma alarmujące pogłoski o stanie zdrowia arcyksięcia Albrechta są zupełnie bezpodstawne. Arcyksiążę ma się całkiem dobrze.

Algier 14 stycznia. Cesarzowa Elżbieta odpłynęła do Marsylii. Podobno ma Cesarzowa zamiar odwiedzić owdowiałą ostatniemi czasy swoją siostrę królowę Neapolu w Mentonie, a potem powróci do Algieru.

Peszt 14 stycznia. Dziś o godz. 2 po południu przedłożył Banffy Cesarzowi następującą listę gabinetu: Banffy prezydyum, Dezydery Perczel sprawy wewnętrzne, Władysław Lukacs finanse, Alexander Erdedy sprawiedliwość, hr. Szandor Festetits rolnictwo, Julian Wlassicz oświata, Ernest Daniel handel, Fejervary obrona krajowa i tymczasowo godność ministra a latere, Jossipovich minister dla Kroacyi.

Paryż 14 stycznia. O północy explodowała na ulicy Monceau bomba napełniona kawałkami żelaza. Nikt nie został raniony. Sprawcy nie wykryto.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

we Lwowie — ulica Trzeciego Maja, 3.

Przyjechali dnia 12 stycznia. K. hr. Baworowski z Wiednia. J. K. br. Hohendorff z Szutrominiec. R. Romer z Zabełcza. S. Wybranowski z Kimirza. S. Dąbski z Rudny. S. Lilienthal z Stanisławowa. T. Puls z Gorlitz. T. Keller z Wiednia. S. Małachowski z Rosyi. L. T. Epstein z Wratny. M. A. Molnar z Budapesztu. Z. Horodyński z Zbydniowa.

Dnia 13 przyjechali: K. hr. Szeliski z Komborni. G. hr. Szilagyi i S. br. Pribnow z M. Sziget. K. Lipiński z Sanoka. Dr. Skomorowski z Kut. M. Struszkiewicz z Wiednia. S. Matkowski z Szczerca. T. Lembich z Berlina. D. Brecher z Jass. P. Rogoyski z Tarnowa. B. Horodyski z Wasylkowiec. J. Gnoiński z Cieszanowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 14 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 300·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 445.— do 455.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·20 do 101·90, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. łos. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·— do 97·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los. w 56 lat. 97·20 do 97·90.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·30 do 98·— Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do 000.00, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 do —·—, 4 i pół proc. 100.— do 100·70, 4 proc. z r. 1891 96.50 do 97·20, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·— do 97·70.

10)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Marlowe, zajęty dotąd pilnie badaniem obyczajów i pojęć bretońskiego ludu, dziwił się nieraz bystrości jego sądu; teraz przeraził się, odkrywając taką próżnię umysłową w tej, którą wziął za dozgonną towarzyszkę swoją. Wobec jej wielkiego nieuctwa cała piękność straciła dotychczasową swoją ponętę.

Najkorzystniej przedstawiała się jeszcze kiedy była w ruchu, stojąc w czółnie z wiosłem w ręku, wyskakując zręcznym skokiem gazelli na ląd stały, lub chodząc po łące swobodnym, elastycznym krokiem, który uwydatniał wdzięk jej kształtnej kibić. Zdawała się wtedy być w swoim żywiole; jej wyniosła postać kołysała się rytmicznym ruchem, pełne, rumiane usta śmiejące się do słońca, ukazywały dwa rzędy olśniewająco białych zębów, młoda, zdrowa krew tryskała na jej policzkach, oczy promieniste jak gwiazdy mieniły się blaskami, a szorstkie, spracowane ręce mniej były widoczne. Szlachetność prostoty odbijała się w każdym jej ruchu. Ale w spoczynku traciła bardzo na efekcie w oczach artysty męża, bo zawsze zdawała się o coś niespokojną, a kiedy nic nie zaprzątało jej myśli, rysy przybierały pewien ociężały wyraz chłopski, rumieńce stawały się zbyt żywe, a ruchy szorstkie.

Renata pierwsza przerwała sam na sam dni miodowych, aby odbyć ślubowaną pielgrzymkę do cudownego obrazu świętej Anny d'Auray, patronki rybaków. Andrzej udał się tymczasem do Cherbourga, gdzie po raz pierwszy odetchnął swobodniej. Ruch portowego miasta, widok wystaw sklepowych, hoteli, tłumu przechodniów wywołał w nim reakcyę myśli.

— Jaki ja szalony byłem — pomyślał w duchu — jak szalony, żeby tak związać sobie ręce!

— Marlowe! jak mi Bóg miły! — zawołał głos jakiś z tłumu.

Andrzej obróciwszy się spostrzegł mężczyznę w marynarskim stroju yachtmana, biegnącego ku niemu z wyciągniętą przyjaźnie dłonią.

— Jak się masz! — wołał nowy przybysz, a dawny jego znajomy Willoghby. — Co ty tu porabiasz? Cóż to za dziura ten Cherbourg To mój yacht, który widzisz tam w przystani a na pokładzie jest moja żona. Chodź, zabieram cię, musisz z nami zjeść obiad.

ROZDZIAŁ VI.

Znalezienie się na wytwornym angielskim yachcie wydało się młodemu emigrantowi jakby powrotem do rodzinnego domu po długiej nieobecności. Morze, na którem wdzięcznie kołysała się „Iskierka", skąpane było w zachodzących blaskach słońca; słone, orzeźwiające powiewy zalatywały z nad fal, śliczny, wypieszczony okręcik był wzorem porządku i elegancyi, a biało ubrana załoga w szerokich kapeluszach ze złotemi literami miała charakter czysto angielski. Właściciele yachtu byli dobrymi przyjaciołmi Andrzeja. Pani Willonghby była to przystojna osoba lat trzydziestu kilku; podróżowała dla przyjemności w towarzystwie męża i kuzynki, wysokiej niemłodej już panny, którą Andrzej znał również jeszcze ze szkolnych lat.

Jednakowoż cywilizacya miała swoje dodatnie strony!.. Drewniane łyżki, brak grabek, zupa podawana w glinianej misce, owsiane podpłomyki i chleb razowy, czosnek i kiełbasy mogą mieć pewien powab dla człowieka znudzonego światem i dotkniętego miłosnym zawodem, ale urok ich jest przemijającym, jak się o tem sam na sobie przekonał Marlowe, siedząc tego wieczora w białym saloniku ze złotemi ozdobami i rozkoszując się widokiem stołu zasłanego białym holenderskim obrusem, zastawy z lśniących sreber i kryształu i porcelanowych chińskich wazonów, z których wykwitały pęki róż stulistnych.

Służba, stąpająca cichutko, wyszukane potrawy podawane na srebrnych półmiskach, stare, wytrawne wina, a nadewszystko obcowanie z ludźmi równego stanu zbudziło w nim wszystkie dawne instynkta światowego człowieka. Tak długo pozostawał za światem, że zużyte nawet przedmioty rozmowy były dla niego interesującymi. Nie oglądał ani tegorocznej wystawy sztuk pięknych, ani najnowszych utworów beletrystyki, nie widział sztuk granych w teatrach, ani słynnych piękności letniego karnawału; nie był świadkiem debat ostatniego parlamentu, ani nie wiedział o nowym zwrocie polityki europejskiej. Zaledwie zasłyszał coś o wojnie wynikłej pomiędzy Niemcami a Austryą. Nieświadomość ta w podziw wprawiała jego przyjaciół. Uznano go za ciekawy okaz przedpotopowy, który powinien być zamknięty w szklanej skrzyni i wysłany do muzeum osobliwości.

— Bretania musi być ciekawym krajem — rzekła pani Willonghby. — Namyślamy się, gdzie przybić do lądu na czas jakiś. Czy tu jest co ciekawego do widzenia, panie Marlowe?

— Nic, nic zgoła — pospiesznie zaprzeczył Andrzej.

— A jednak bawiłeś tu pan tak długo.

— Tak, ale to co innego. Chorowałem i doktorzy skazali mnie na zupełny wypoczynek, zabraniając czytać, myśleć i zajmować się czemkolwiek przez całe pół roku. Przybyłem więc do tego zapadłego kąta i ściśle wypełniałem co mi kazano.

Mówił obojętnie na pozór, ale serce jego uderzyło niepokojem na myśl, że ci ludzie z jego sfery mogą przeniknąć do samotnego ustronia, w którem ukrywał swoją tajemnicę. Nie mógł powstrzymać rumieńca, który zabarwił bladą jego twarz, odkrywając pełną grę jego rysów.

— Jedźmy do Bretanii — nalegała ładna kuzynka. — Wszyscy jesteśmy wyczerpani i potrzebujemy spoczynku.

— No, ale coś przecież musiałeś pan robić dla zabicia czasu? — spytała pani domu.

— Leżałem godzinami na murawie paląc cygara. Zabrałem z sobą pędzle i farby i udawałem, że maluję, choć nie było tam nic do szkicowania, upewniam panią. Co się tyczy pomników druidyckiej epoki, to jest ich o wiele więcej na południu, w pobliżu Carnac. Najbardziej malownicza okolica jest ku wschodowi, ale jeżeli pani chcesz ponurych, a prawdziwie majestatycznych widoków natury, to ich trzeba szukać w zachodnich stronach. Fale Atlantyku rozpędem swoim poszarpały tam granitowe skały i rozrzuciły je na piaskach wybrzeża niby kule lawn-tennisowe.

— Matka pańska również, o ile wiem, spędza lato w wiejskiej rezydencyi swojej nad morzem — rzekła pani Willonghby. — Musisz pan znać tę śliczną panienkę, która bawi u niej obecnie, miss Gracyę Brande?

Marlowe rad był, że rozmowa przeszła na inny temat. Zastanowił się, że nawet w razie przypadkowego spotkania Renata nie wymówiłaby jego nazwiska, którego brzmienie było jej tak obcem, że często o niem zapominała, co w tym razie było mu bardzo na rękę. Powszechnie uchodziła ona w domu i we wsi pod nazwą „pani Andrzejowej."

Kawę, likiery i cygara podano na pokładzie. W chwili gdy wszyscy wychodzili z jadalnej sali, ciche, balsamiczne powietrze wieczoru przyniosło im z wybrzeży srebrzyste dźwięki dzwonu kościelnego, zwołującego wiernych na Anioł Pański.

— Wszak Bretończycy są bardzo pobożni? — spytała pani Willonghby. — Mam takie wyobrażenie o tym kraju, że Bretania to jest opera w świetle dziennem, w której piękne dziewczęta wirują w tańcu z duchami, a wychodzą za mąż za rycerskich wieśniaków.

— Mylne to wyobrażenie — odparł Marlowe. — Bretończycy są istotnie pobożni, ale przytem okrutni pijacy, a ich rycerskość polega na barbarzyńskiem obchodzeniu się z kobietami i haniebnem wyzyskiwaniu ich pracy. Przytem są oni bardzo nieokrzesani i zabobonni, a brudni i niechlujni do najwyższego stopnia.

— Któżby chciał jechać do Bretanii po takim opisie!

Zaczynało się chłodno robić na dworze; towarzystwo więc całe powróciło do salonu, gdzie przyćmione ponsowemi abażurami lampy łagodne światło rozlewały dokoła. Pani Willonghby usiadła do fortepianu i zaczęła dźwięcznym sopranem śpiewać angielskie piosenki. Jakże pełnym uroku wydawał się Andrzejowi głos jej i słowa, w których nie brzmiały ostre dźwięki bretońskiego narzecza! Tu przynajmniej żadna Korrigana nie wabiła go w swoje sidła, grożąc śmiercią w razie oporu.

Nazajutrz „Iskierka" powiozła Marlowa do przystani poblizkiej miejscowości, gdzie opierając się naleganiom przyjaciół, rozstał się z nimi pod kłamanym jakimś pretekstem.

— Zgubiony jestem — myślał z rozpaczą przesyłając pasażerom odpływającego yachtu ostatnie pożegnanie z brzegu. — Biednej mojej matce pękłoby serce z żalu, gdyby wiedziała co zrobiłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.